Kłujący Krzak Róży, czyli przemyślania własne na temat książki pt. „Różewicz. Rekonstrukcja. Tom 1”.



Tadeusz Różewicz, Praga 2007 r., fot. wikimedia commons

Adam Lizakowski *(Chicago/Pieszyce)*

Magdalena Grochowska napisała pierwszy tom biografii pt. „Rekonstrukcja, tom 1” poety Tadeusza Różewicza dla tych wszystkich, co chcą poza wierszami dowiedzieć się czegoś więcej o ich twórcy. Rekonstrukcja poety i jego życia, czyli odtworzenie czegoś ważnego, istotnego, powstała na podstawie zachowanych wierszy, dramatów, prozy, czyli twórczości poety. Autorka wykorzystała do tego celu także listy, fotografie, wspomnienia bliskich i dalekich poety, z którymi los go zetknął. Dzięki jej ogromniej pracy książka powołała żywych i umarłych do opowiedzenia o kimś, kogo praktycznie znał każdy Polak urodzony po II wojnie światowej poprzez lektury szkolne, gazety,

teatry, słowem *mass media*. Historia opowiedziana swobodnie, czasem nawet mało dyskretnie, ale prawdziwie o życiu poety, Polaka.

Aby zrozumieć poetę i jego poezję, trzeba go zobaczyć poprzez jego życie, które było nie tylko inspiracją, ale także siłą napędową jego twórczości. Różewicz to barwny krzak róży w ogrodzie życia, mieszkający w kraju, gdzie największe święta państwowe to dni wielkich przegranych bitew, wojen, porażek na przestrzeni wieków, co to nie jest takie łatwe. Barwny krzak róży w szarym i biednym kraju przestraszonych ludzi, wiecznie się szamotających lub mocujących z wrogiem, którym była polityka, religia, literatura, kultura, własne korzenie, tożsamość, wewnętrzne urazy na psychice, uczucia niespełnienia i niemocy.

Wielu czytelników może zadać sobie pytanie skoro rodaków były „miliony", to, dlaczego właśnie on? Dlatego, że jak mało kto, on potrafił pisać ważne wiersze zwrócone do świata, który wraz z nim stwarzał nową polską rzeczywistość po II wojnie światowej. Jak mało kto, on miał wewnętrzną swobodę i zdolność wysłowienia tego, co było nowe w polskiej poezji w drugiej połowie XX wieku. Był nowoczesny, a zarazem duch czasu przeszłego „miał go w swoim posiadaniu", bo on należał do garstki poetów, którzy słyszeli ducha czasu, był jednym z najważniejszym z nich dźwigający na swoich ramionach wszystkie polskie obciążenia związane z historią i polityką. Z

tego powodu odczuwał zmęczenie, jego ironia i cynizm dawały często znać o sobie, unikał ludzi ze swojego kręgu, nie brał udziału w zebraniach i jeśli musiał coś zrobić lub „wykonać” nie robił tego z uśmiechem, ale z grymasem lub kpiną. Taki był.

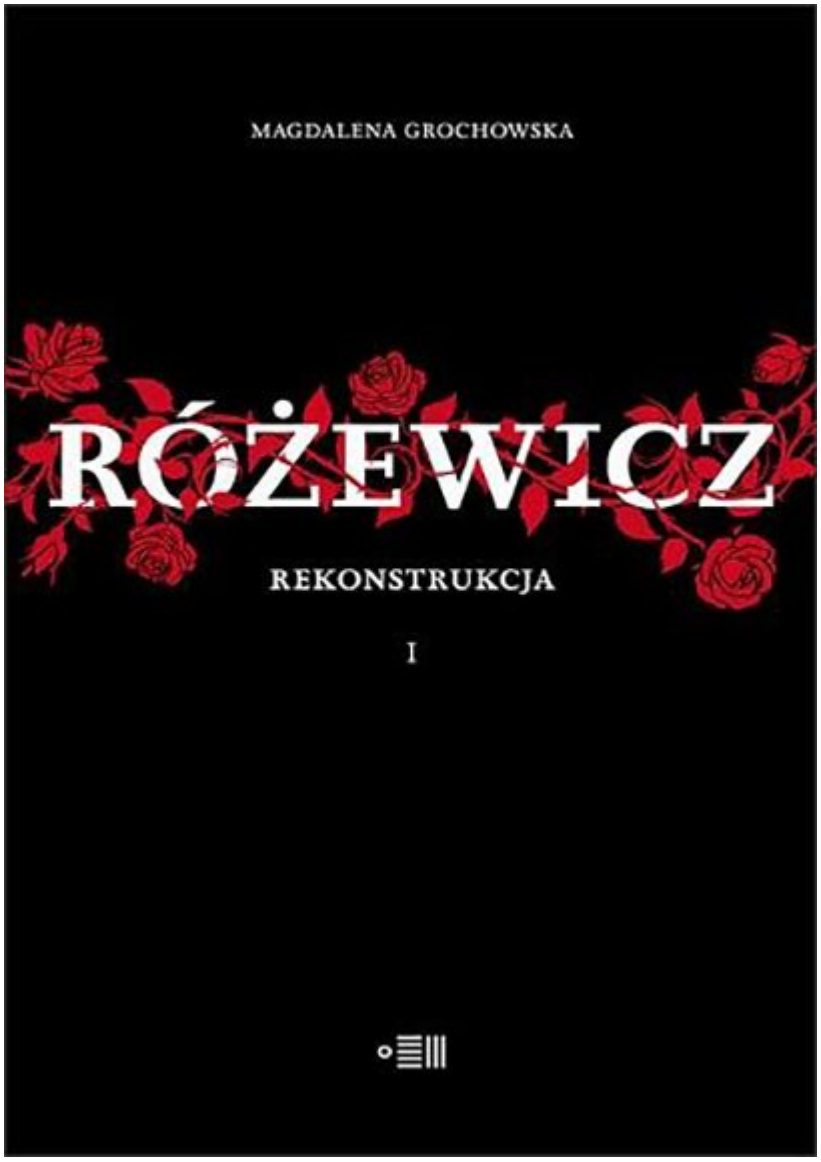
W biografii Grochowskiej Różewicz wciąż żyje, pisze o wojennych przeżyciach w czasie teraźniejszym, to one były ważnym elementem kształtującym jego osobowość, ale w przeciwieństwie do większości Polaków nie zachował ich tylko dla siebie. Wrześniową klęskę przyjął, jako klęskę. Majową także, co do tego nie miał żadnych złudzeń. On otworzył się na teraźniejszość i przyszłość, zaczął uczestniczyć w życiu kraju, jako dziennikarz i jako poeta. Zdał sobie szybko sprawę z tego gdzie jest jego miejsce, nikogo ostro nie osądzał, a swojego życiowego wyboru nie traktował, jako poświęcenia się „wyższej sprawie”, niczego nie idealizował ani niczemu się nie dziwił.

Książka jest tak skomponowana (bo jest to prywatny punkt widzenia – spojrzenie autorki), aby czytelnik nie był narażony na męki wyższego rzędu typu, co poeta miał na myśli pisząc to i to, lub mówiąc to i to. Przykładów i dowodów na to jest wiele. Np. strona 28 – *Różewicz sucho donosi Tchórzewskiemu w 1969* r…. *jakaś osa wlazła mi do wnętrza*. Pół strony dalej na 29 jest już rok 2003 – *Olek zrobi serię zdjęć twarzy Różewicza*.

Wbrew temu, że jest to „ciężka” lektura to łatwo się ją czyta.

Wielu czytelników poezji Tadeusza Różewicza będzie zdziwiona tym, że jego matka była córką rabina i w wieku 12 lat uciekła z domu, została z niego uprowadzona lub świadomie, jako dziecko, zdecydowała się na życie poza społecznością żydowską. Trafiła do księdza w miejscowości Osjaków koło Wielunia, który ją ochrzcił i wychował, przyuczył do zawodu, a z czasem wydał za mąż w wieku 18 lat za starszego od niej o 10 lat, przyszłego ojca poety, skromnego urzędnika państwowego Władysława.

Na przestrzeni stu lat rodzina matki poety „rozwiała się jak mgła". Tym sprawom jest poświęcony rozdział 3 pt. „Wyszedłeś z matki razem z krwią". Pani Grochowska zgłębia ten temat z dociekliwością detektywa, razem z nią odwiedzamy miejsca w przestrzeni i czasie, który został zamknięty w ludzkich słowach i pamięci. Matka jego była bardziej Polką i katoliczką niż wiele innych matek Polek od pokoleń mających „polską krew" od Bałtyku po Tatry. Wielu Polaków ma problem pod tym względem z Różewiczem i coraz częściej spotykam sformułowania, że Różewicz kamuflował lub ukrywał swoje żydowskie korzenie, argumentując swoje przepuszczenia tym, że matka urodziła się w rodzinie żydowskiej, więc musiała być Żydówka. Ludzie piszący o tym, że Różewicz miał cokolwiek wspólnego z Żydami, nie wiedzą o czym piszą. Między pochodzeniem, a wychowaniem może być ogromna różnica, wręcz przepaść kulturowa – w literaturze/poezji, pisaniu wierszy, gdy się pisze całym sobą, gdy potrzebna jest osobowość w stu procentach.



Poeta urodził się i dorastał w kulturze polskiej, tylko i wyłącznie mówił po polsku i myślał jak Polak, żył jak Polak, chodził na lekcje religii jak Polak i żadnej religii i kultury poza polską nie znał. Jakie to jest skrywanie czy kamuflaż swojego pochodzenia, można po raz kolejny się zapytać? A jeśli powstawały wiersze o holokauście, to nie dlatego, że napisał je, Żyd, ale dlatego, że czuł się człowiekiem, humanistą, którego drugi człowiek rozczarował. Cywilizacja nie zdała egzaminu z człowieczeństwa, poeta był zawstydzony tym, że jest członkiem społeczeństwa. Temat ten można zakończyć słowami żony poety,

która powiedziała – *Ani Tadeusz, ani matka nigdy na ten temat nie rozmawiali. (s.61)*. Trzeba dać wiarę słowom żony poety i uszanować milczenie matki.

Na pytania jak było w partyzantce, wcale nie odpowiadał, albo mówił „stare mądrości", archaiczne doświadczenia żołnierzy wszystkich armii świata. Najpierw było o onucach, jak ważna jest umiejętność założenia ich na nogi, bo od nich zależało życie żołnierza/partyzanta. Mówił wprost, bez ogródek, że dzień zaczynał się od polowania na wszy, bo one były wszędzie – *a najgorsze były te na jajach, bo się w nie wżerały i nie było łatwo je wyciągnąć*. Czy tyle ma do powiedzenia partyzant po dwóch latach spędzonych w lesie?

Różewicz i Kraków

Po wojnie młody poeta, dzięki wcześniejszej korespondencji z uznanym poetą Julianem Przybosiem, z Częstochowy trafił do Krakowa. Zamieszkał w legendarnym już dzisiaj domu przy ulicy Krupniczej 22. Jak pisze autorka książki – *Machina terroru nabrała rozpędu (s. 271)*. Skończył się terror hitlerowski, rozpoczął się terror stalinowski, a Różewicz szukał własnej formy poetyckiej, sposobu, aby wyrazić siebie jak najprościej. Pyta czy jest możliwa poezja po Auschwitz? Koszmar wojny, bolesne doświadczenia, upadek człowieka, a nawet ludzkości. Powojenny niepokój, który przerodzi się w nieustający-wieczny

niepokój. Poezja nie może być protestem przeciw czemuś, skargą małego człowieka, krzykiem duszy, narzucaniem się Bogu ze swoimi problemami istnienia. Poniżenie człowieka przez człowieka, tortury, zbydlęcenie, udręka i szczucie jednego na drugiego, dzierganie numerków na rękach, które człowiek ma aby służyły mu do pracy. Krew przelana, blizny zadane na ciele i psychice, znieczulenie, czy wolno o tym zapomnieć? Jak można o tym pisać? Czy twórcy powinni oskarżać morderców, wszystkich tych, którzy są winni? Czy po Auschwitz da się jeszcze pisać wiersze? Różewicz odpowiada – *da się i pisze się, aby kurz zapomnienia nie pokrył pokrzywdzonych i zamordowanych.*

Wyprowadzka do Gliwic

Różewicz nie najlepiej się czuje w Krakowie, studiów nie kończy, w 1950 roku przenosi się do Gliwic, gdzie poślubia swoją ukochaną dziewczynę, Wiesławę i zakłada rodzinę. Jego młodszy, nieżyjący od kilku lat syn Jan określa to, jako „spadek wojenny po bracie". Na prowincji śląskiej jest mu chyba dobrze, odnajduje się. Pracuje, jako dziennikarz, wyjeżdża za granicę, synowie Kamil i Jan rosną. W listach do znajomych świat literacki ten warszawsko-krakowski określa, jako „wychodek", „wszy literackie", „monstrualne gówno". Ma ku temu powody, aby tak pisać pod koniec roku 1951, gdy w Polsce stalinizm osiąga swoje apogeum. Seweryn Polak, Grzegorz Lasota i inni atakują go za Eliota i Miłosza, poecie z trudem udaje się ujść cało z tej

nagonki, chociaż, nie były to żarty i można było trafić do więzienia na wiele lat. Wiele lat później wspomniany Lasota powie, że zaczadził się, jak wielu, stalinizmem.

Różewicz a Miłosz

Pod koniec książki autorka powołuje się na profesora Andrzeja Skrendo, który zastanawia się nad tym, dlaczego Różewicz nazwał Miłosza starszym bratem. I Skrendo sam sobie odpowiada – *To znaczy zaakceptować to, że jest się drugim – po starszym bracie*. Różewicz czuł się drugim wynikało to między innymi z tego, że to Miłosz napisał wiersz „Do Tadeusza Różewicza, poety". (s. 398). Poza tym powtórzę za profesorem – dostał nagrodę Nobla i był bardziej znany w świecie niż Różewicz.

Na pytanie:, „Kim jesteś?", Tadeusz Różewicz odpowiedział przed laty: – *Kto mnie uważnie czyta, ten wie*.

Czesław Miłosz odpowiedziałby na sto stronach, albo napisałby książkę o tym kim jest.

Dzieciństwo

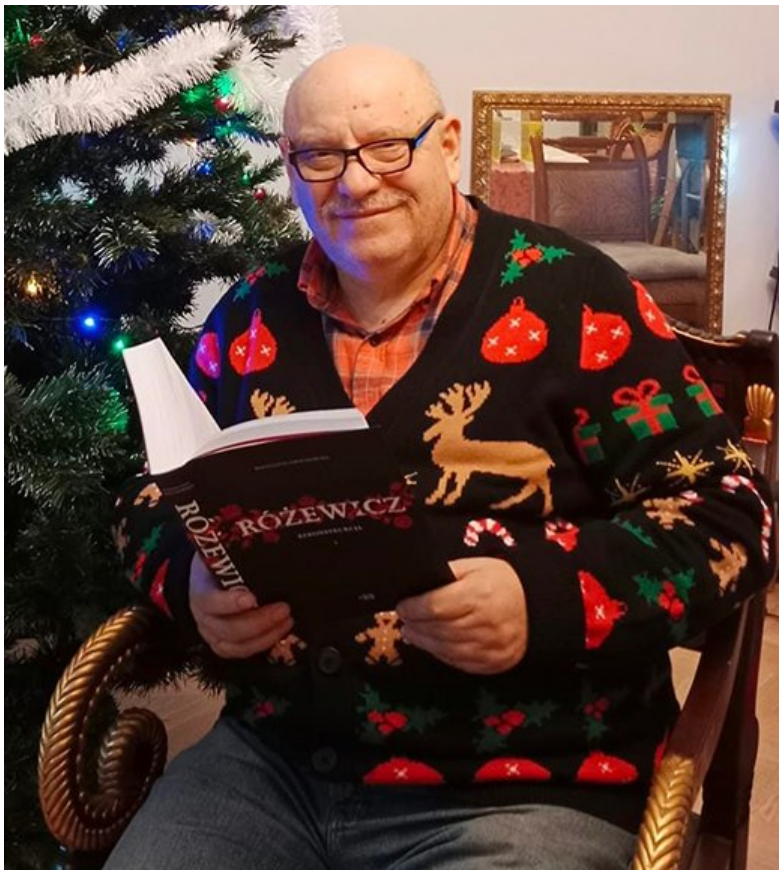
> Spójrz na niemiecką mapę sztabową z czasu pierwszej

> wojny:
> To jest dolina Niewiaży, samo serce Litwy.
> Kto nią jechał, po obu stronach widział białe dwory.
> Tu oto Kałnoberże, naprzeciwko Szetejnie,
> Dom, w którym się urodziłem, wyraźnie widoczny.
> (Czesław Miłosz, „Rok 1911” z tomu „Kroniki”)

Dalej by jeszcze dodał, że urodził się 30 czerwca 1911 roku w Szetejniach na Litwie, jako syn Aleksandra Miłosza i Weroniki z Kunatów, że był świadkiem wszystkich ważniejszych wydarzeń XX wieku, począwszy od rewolucji październikowej, przed którą uciekał z rodzicami, jako 6-letni chłopiec, po ruchy hipisowskie w Berkeley i wojnę w Wietnamie, powstawanie „Solidarności”, aż do upadku komunizmu. Niemal wszystkie prądy myślowe i literackie począwszy od romantyzmu w XIX wieku po XX lecie międzywojenne, poprzez dwudziesty wiek stałyby się przedmiotem jego refleksji.

Różewicz jest ojcem współczesnej poezji polskiej, jaka powstała po II wojnie światowej, a nie Miłosz. Porównywać Miłosza i Różewicza to jakby porównywać księgowego z powiatowego miasteczka z prezesem *Bank of America*, Mozarta z Salierim, czy Picasso z Matissem, C.K. Norwida z Waltem Whitmanem, czy Boba Dylana z Wojciechem Młynarskim. Poetycko było mu o wiele bliżej do Przybosia niż do Miłosza.

Od strony politycznej Różewicz miałby, o czym rozmawiać z młodszym bratem Miłosza Andrzejem, który miał podobny wojenny życiorys. Żołnierz AK w Wilnie i na Litwie, ratował Żydów, udzielał pomocy polskim oficerom w ucieczce z obozów internowania. Pan Czesław takiego życiorysu nie miał, chodził po Warszawie w czasie wojny z litewskim paszportem.



Adam Lizakowski czyta książkę Magdaleny Grochowskiej o Tadeuszu Różewiczu

Książkę bardzo cienionej dziennikarki Magdaleny Grochowskiej polecam, z wielką niecierpliwością czekam na drugi tom biografii mojego poety z Wrocławia. Muszę dodać – ja też czekam – wraz z armią poetów, którzy urodzili się po wojnie i debiutowali nie ważne czy pięć, dziesięć, czy pięćdziesiąt lat temu. Wszyscy

jesteśmy żołnierzami Generała T. Różewicza.

***Źródła**: Wszystkie cytaty pochodzą z Magdalena Grochowska, Różewicz. Rekonstrukcja. Tom 1, Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa, 2021 r.*

Adam Lizakowski grudzień, Świdnica 2021 r.

*

Zobacz też:

> Jowialny Różewicz

Wańkowicz po latach:

towarzysz podróży historyków



Melchior Wańkowicz, fot. Władysław Miernicki – Narodowe Archiwum Cyfrowe, Sygnatura: 20-112

Marcin Kula *(Polska)*

Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm imponuje rozmiarami oraz zapleczem materiałowym. W swoich opisach i analizie autorka wykorzystuje po pierwsze wiedzę, jaką zyskała, będąc przez lata sekretarką i asystentką Melchiora Wańkowicza. To jej przekazał swoje, skrupulatnie prowadzone archiwum, toteż miała dostęp do notatek pisarza, jego listów i wycinków. Sama korespondowała z mnóstwem ludzi, którzy mieli z nim kontakt. Prześledziła publikowane reakcje na jego książki. Przejrzała odnoszące się doń akta w archiwum paryskiej „Kultury" i w IPN… To nie jest „tylko" książka wspomnieniowa. Wspomnienia zostały w niej połączone z rezultatami wielkiej pracy, której trud przede wszystkim historyk potrafi docenić.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm stała się naszym przewodnikiem po drogach życia Wańkowicza. Widzimy jego codzienne bytowanie, różne prywatne sprawy, czytamy listy – co zresztą jest ciekawe nie tylko dla tej postaci, ale również dla refleksji nad historią kultury szeroko rozumianej. Towarzyszymy pisarzowi w smutku ostatniego okresu, kiedy był chory:

> Gdy pytałam, co go gnębi, opowiadał historie często sprzed lat, przypominał całożyciowe przykrości. Wszystko to, co mówił, było smutne, przygnębiające, czasami zdumiewające… – s. 97.

Z książki można się dowiedzieć o najróżniejszych sprawach, z którymi Wańkowicz mial kontakt – na przykład o historii wydawnictwa „Rój”, o życiu emigracji, o paryskiej „Kulturze”. Także o sporach i namiętnościach nie tylko literackich wokół dzieł pisarza (na przykład o druku przez Związek Niemieckiego Wschodu niemieckiego tłumaczenia „Na tropach Smętka”, z numerowanymi egzemplarzami, dla poznania metod Polaków – co mojemu pokoleniu niestety żywo przypomina, dajmy na to, biuletyny tekstów zachodniej prasy, nawet tekstów audycji WE, przygotowywane dla osób zaufanych w PRL).

Badania autorki w zakresie życia i twórczości Wańkowicza były zbieżne – bowiem dzieło pisarza było wyjątkowo splecione z jego życiem. To był człowiek, który nie przestawał być reporterem

> **Wańkowicz:** Gdy jadę tramwajem, coś zmusza mnie do tego, bym się dowiedział, jaką książkę czyta ów pan w przeciwległym kącie wozu. Śledzę jakąś parkę na przestrzeni kilku ulic, aby się dowiedzieć, jakim mówią językiem. Zaglądam do cudzych okien, odczytuję wszelkie szyldziki na drzwiach mieszkań kamienicy, do której przybywam w odwiedziny, szukam na cmentarzu znajomych nazwisk. Obojętnych mi ludzi wypytuję o ich życie. Niezwykłe nazwy ulic zmuszają mnie do zastanowienia się, dlaczego one tak właśnie brzmią. Chciałbym przetrząsnąć każdą rupieciarnię i

> każdy stos starych papierów. Każdy napis „Wstęp wzbroniony” nęci mnie do przekroczenia zakazu, każda tajemnica zachęca do jej zgłębienia – s. 181.

Przeprawiając się wpław przez Dniestr pod koniec września 1939 r., Wańkowicz przeniósł maszynę do pisania (!). Potem pisał czy to o „codzienności” wojennej tułaczki, czy o wielkich sprawach. Gdzie go los rzucił, tam obserwował i opisywał otoczenie. Gdy go ten los uwikłał go w wojnę, tworzył obraz wojny. Gdy zaniósł go do Palestyny, to tam rozwijał swoje zainteresowanie Żydami i syjonizmem. Fascynował się Ameryką, gdzie spędził dziewięć lat. Żyjąc wśród emigrantów, obserwował i definiował dylematy, wobec których stali

> **Wańkowicz:** W 1949 roku sądzę, że Rosja zwycięży, ale nie potrafi urządzić świata. I rozleci się. Iść za stroną skazaną na przegranie przeciw Rosji, jest bezmyślnym samobójstwem, a walka o rzekome walory kultury zachodniej – zakłamaniem publicystów, którzy potrafią recytować Wyspiańskiego, ale z ekonomii politycznej nie przeczytali nawet jednego podstawowego podręcznika – s. 278.

Gdzie Wańkowicza coś interesowało – tam starał się pojechać (bolszewicka Rosja, Meksyk okresu wojny religijnej). Po latach

Ryszard Kapuściński zaczął pewien ustęp, chyba nie zdając sobie sprawy jak charakterystyczne dla siebie formułuje zdanie: „Gdy jechałem na rewolucje do…” (dalej padła nazwa jakiegoś kraju afrykańkiego, której już nie pamiętam). Podczas jakiejś konferencji o problemach społecznych w Ameryce Łacińskiej Kapuściński wyszedł, mówiąc, że wróci później – bowiem dotarło do niego, że właśnie w tym mieście, trochę dalej, rozgrywa się bijatyka manifestantów z policją; poszedł tam zatem, by samemu obejrzeć ekspresję problemów społecznych. Właśnie taka była odpowiednio wcześniej postawa Wańkowicza. Kapuściński nie musiał go oczywiście naśladować – ale przynajmniej w tym wymiarze postawa wielkich twórców reportażu była podobna.

Pisząc swoje reportaże, Wańkowicz z pewnością nie myślał o przyszłych historykach. Stworzył jednak dla nas niezwykłe źródło – i w tym sensie stał się towarzyszem naszej podróży w czasie. Dysponujemy różnymi źródłami – ale reportaże z epoki mówią do nas w inny sposób niż materiały aktowe, nawet niż różnego typu raporty. To są opisy zawodowych i zapasjonowanych obserwatorów, którzy najczęściej umieją patrzeć, analizować i uogólniać. Wystarczy zresztą popatrzeć na współczesnych polskich reporterów (by wymienić przykładowo: Jacka Hugo-Badera, Adama Leszczyńskiego, Małgorzatę Rejmer, Ziemowita Szczerka, Mariusza Szczygła, Małgorzatę Szejnert, Wojciecha Tochmana…).

Przyzwoity reporter to obserwator nieraz bardziej wiarygodny niż wielu innych autorów źródeł opisowych, gdyż najczęściej jest mniej od nich zainteresowany osobiście sprawą, o której pisze. Nadto najczęściej stara się zrozumieć obserwowanych ludzi, wczuć się w ich pasje. Istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że reporter pójdzie mocno w kierunku literatury, że – jak wielki malarz – przedstawi atmosferę sytuacji nawet kosztem dokładności jej odzwierciedlenia. Wańkowicz, jak pisze autorka, „wprowadził reportaż polski na szerokie drogi literatury faktu" (s. 175). Czasem obserwowano takie podejście u Kapuścińskiego, którego teksty czyta się znakomicie i z pożytkiem dla zrozumienia biegu spraw, ale czasem z pytaniem, czy odmalowane w szczegółach sytuacje doprawdy tak wyglądały. Teksty Wańkowicza chyba mogą być jednak źródłem nawet dla historyka najbardziej wiernego kanonom uprawianego zawodu. Nie da się dziś pisać o Polakach w Prusach Wschodnich, czy o COP-ie, bez ich lektury. Sam *notabene* z pożytkiem korzystałem z wańkowiczowskich reportaży dotyczących Palestyny i Meksyku. Ciekawe były wrażenia pisarza z bolszewickiej Rosji. Niektore z jego reportaży były dosłownie unikalne – jak wywiady z Rydzem-Śmigłym i z Beckiem w Rumunii, czy z Abrahamem „Yairem" Sternem, żydowskim terrorystą poszukiwanym przez Anglików. Wańkowicz, będąc w Palestynie, starał się o kontakt z nim. Nie mógł go uzyskać – co nie jest dziwne. W końcu dostał wiadomość, że ktoś przyjdzie do niego wieczorem i od przebiegu rozmowy zależy, czy dojdzie do spotkania. Rozmowa toczyła się

przez całą noc. Gość ulotnił się po końcu godziny policyjnej. Trochę później Wańkowicz wyszedł na ulicę i na plakatach z ogłoszeniami o osobie poszukiwanej zobaczył swojego rozmówcę.

Wątkiem interesującym dla historyka jest jednak także samo życie Wańkowicza. Biologowie mawiają, że patrząc na kroplę wody pod mikroskopem można wiele dowiedzieć się o nadspodziewanie szerokich zagadnieniach. Bogate życie Wańkowicza mogłoby być pryzmatem, przy pomocy którego dałoby się napisać kawał historii Polski. Niektóre jego etapy dokumentował sam Wańkowicz, inne – albo te same – opisała oraz zilustrowała dokumentami autorka. W książce pojawia się życie przedwojenne pisarza, dzieje wydawnictwa „Rój", zawirowania wojenne, jego życie na emigracji i (co ważne!) wśród emigrantów, kontakty z „Kulturą", decyzja o powrocie i jej echa w środowisku emigracyjnym… no i życie w PRL. Ten ostatni etap bardzo mnie zainteresował – bowiem nasunął mi pytanie jakie okoliczności sprawiły, że w komunistycznej Polsce Wańkowicz mógł być tak wielką postacią. Potwierdził też moje przekonanie, wywiedzione zarówno z pracy zawodowej, jak ze wspomnień, o niekoherencji tego systemu, przynajmniej po 1956 r.

Stwierdzenie, że Wańkowicz był wielką postacią bowiem był wielkim pisarzem, jest tylko częściową prawdą. W PRL nie on

jeden był wybitnym pisarzem, a mało kto został tak zapamiętany. W końcu władze mogły nie dopuścić, by rósł w siłę jako pisarz. Myślę, że jego popularność w pierwszym rzędzie budowały cechy osobiste. PRL była w znaczącym stopniu krajem ludzi szarych i typowych. Nawet wśród relatywnie znanych postaci mało było oryginałów, osób nietuzinkowych, nieszablonowych. Takich władza zresztą nie lubiła. Wańkowicz zaś taki był. Robił wrażenie swoją postawą, przynajmniej zewnętrzną pewnością siebie, rozbudowanym *ego*

> Ileż różnych cech miał w sobie ten czlowiek! Był jednocześnie i egoistą, i gotowym do poświęceń, wielkim łgarzem, egocentrykiem, gruboskórnym, a także wrażliwym na ludzkie cierpienie, lękającym się o sobie myśleć jako o wielkim pisarzu, delikatnym, czułym, tkliwym. Był sprzecznością. Sama nie wiem, które cechy dominowały, zależało to od ludzi, od układów, od sytuacji – s. 101.

> Był sprzecznością: i chciał, i nie chciał nagrody państwowej, orderu, uroczystego pogrzebu, wielkiej śmierci – s. 110.

Bardzo mało było w PRL ludzi utrzymujących styl człowieka „do wypitki i do wybitki”, przypominających szlachcica we dworze,

prowadzących otwarty dom, gdzie bywała „cała Warszawa”.

> Lubił przyjmowć ludzi, lubił dawać dobrze zjeść. Ugaszczał ich delicjami, smakołykami, wyszukanymi różnościami, jak ośmiorice, ślimaki, żaby itp. – s. 103.

Był trochę człowiekiem dawnych czasów – co w PRL nie zdarzało się często, przynajmniej wśród osób funkcjonujących publicznie. Utrzymywał szeroką korespondencję, masowo otrzymywał listy od najróżniejszych nadawców, w tym od „zwykłych ludzi”. Wątpię, czy wiele znanych osób w ówczesnej Polsce odpowiedziałoby na list z pytaniem, czy dziecko ma nazwać psa „Dupek” (imię psa Wańkowicza), czy „Melchiorek” (oczywiście od imienia samego pisarza). Jeszcze mniej odpowiedziałoby następująco:

> Drogi Kubusiu, odbyłem z Dupkiem naradę, ale na razie do niczego nie doszliśmy: on chciał, żeby Twój piesek nazywał się Dupek, a ja – żeby Melchiorek. Ale stało się tak, że już jedna dziewczynka nazwała swój jasiek Melchiorkiem, a biednego Dupka nikt jeszcze nie uczcił. Wobec czego powiedziałem Dupkowi „mądry głupiemu ustąpi”, na co on zamerdał ogonkiem. Ale powiedziałem: dobrze, niech piesek Kubusia zostanie Dupkiem Nr 2 i nie przynosi wstydu, ale na

> drugie imię niech ma Melchiorek. Na co Dupuś polizał mnie w nos, a więc się zgodził. Tak więc, jeśli Twój piesek będzie miał synka, to mu koniecznie wpisać należy imię ojca: „Dupek-Melchiorek”. Daj mu z powodu tych chrzcin jakąś honorową kość. Całuję Ciebie – Melchior Wańkowicz (s. 63-64).



Grupa polskich uczestników kongresu podczas pobytu w poselstwie polskim, X kongres PEN Clubów w Budapeszcie w 1932 roku. Stoją od lewej: Władysław Korsak, Mieczysław Grydzewski, Romana Kaden-Bandrowska, Jan Tomcanyi,

Breiterowa, Witold Hulewicz, Julisz Kaden-Bandrowski, Szalom Asz, **Melchior Wańkowicz,** Zdzisław Kleszczyński, Stefania Podhorska-Okołów, profesor Huzarski, Kazimierz Wierzyński, siedzą: Dobrowolska, Wańkiewiczowa, Wieleżyńska, Łepkowska, poseł Stanisław Łepkowski, ks. Lubomirska, Stella Olgierd, rtm. Nitman, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pisarz był – co wówczas rzadkie – człowiekiem-firmą, autorytetem otwartym na kontakty, wręcz lubiącym chcących się do niego zbliżyć. Zatrudniał sekretarkę, budował dom, gromadził własne archiwum, produkował mnóstwo tekstów. Był atrakcyjny jako człowiek z Zachodu. Jako ten, który wrócił, był dla władz do pewnych granic wygodny. Jego dzieła znajdowały uznanie czytelników w różnych gronach – także w szeroko rozumianym środowisku ludzi władzy. Wówczas było w nim przecież już znacznie więcej ludzi o mentalności z grubsza przeciętnej niż charakterystycznej dla wiekowych komunistow. W latach sześćdziesiątych PZPR coraz bardziej uderzała w nutę patriotyczną. Robiła to i dawniej, ale wówczas ta patriotyczna stopniowo stawała się niemal jedyną. Coraz częściej wracał klasyczny dyskurs o bohaterstwie Polaków. Oczywiście, cała ta ewolucja miała ograniczenia – ale zaryzykuję powiedzenie, że właśnie dlatego mówienie o Monte Cassino było dla ówczesnych władz wygodniejsze niż mówienie na przykład o AK i Powstaniu Warszawskim. W ramach tej ewolucji Wańkowicz mógł być nawet wygodny z punktu widzenia władz. Prawda, bywały z nim kłopoty. Nie chciał siedzieć cicho. Podpisał list 34. Praktycznie

nie ukrywał swoich myśli. Gdy przyszedł kiedyś do mojego liceum na spotkanie z młodzieżą, ktoś z uczniów (nie ja!) zapytał go dlaczego nie pisze o… i tu wymienił jakąś sprawę wtedy drażliwą, doprawdy nie pamiętam już jaką. Pisarz odpowiedział jednym słowem: „Dlatego”. Brak mi talentu Wańkowicza (sic!), by oddać tę scenę – ale nikt na sali nie miał wątpliwości, że miało to znaczyć, iż władza nie pozwala. Niemniej jednak narastający w latach sześćdziesiątych moczaryzm go potrzebował. On zresztą przyjmował w domu niektórych ludzi wyraźnie o takiej orientacji (Załuskich, Jana Zygmunta Jakubowskiego) – trudno powiedzieć, czy cynicznie, czy z prawdziwej chęci. Na tym tle proces Wańkowicza był czymś więcej niż strzeleniem sobie przez establishment w stopę:

> Ostatecznie proces przyniósł Wańkowiczowi jeszcze większą popularność, stał się kimś w rodzaju bohatera. Ludzie zatrzymywali go na ulicy, otrzymywał kwiaty i listy od czytelników. Znany był powszechnie wypadek, kiedy przyszedł do teatru, zajął miejsce w pierwszym rzędzie i w połowie aktu jeden z aktorów, rozpoznawszy go, podszedł do rampy, ukłonił się i dopiero potem wznowił grę. Brawa publiczności pokwitowały to zdarzenie – s. 358.

Ten proces był czymś sprzecznym z logiką ówczesnej ewolucji PZPR. Całe posunięcie bardziej pasowało do Gomułki niż do

Moczara i wszystkich ówczesnych arywistów z tego okresu. Nie mam na to żadnych dowodów, ale odnoszę wrażenie, że proces Melchiora Wańkowicza (1964) był nie tylko ukaraniem pisarza przez Gomułkę ze złości za niepodporządkowywanie się PRL-owskim władzom, ale również komunikatem dla środowiska literackiego, że władza jest zdecydowana wymóc posłuszeństwo (jeśli nie zawahała się zamknąć, postawić przed sądem i skazać na 3 lata tak wybitnego pisarza, na dodatek mającego wtedy 72 lata…). Ostatecznie władza nie zdecydowała się uwięzić Wańkowicza – choć istnieje legenda jakoby on w pewnym sensie nawet chciał tego. Trudno oczywiście powiedzieć, że ktoś chce siedzieć w więzieniu – ale on też w swojej roli oskarżonego coś rozgrywał.

Logiki trudno się było doszukać w systemie także w przedstawianych w książce mniejszych sprawach. Po przyjeździe do Londynu pisarza odległego duchowo (i zaznaczającego swój dystans ukrytymi, ale przecież wyczuwanymi przez władzę czynami) witał na miejskim teminalu lotniczym konsul z koniakiem i kwiatami. Zasłużony dla wydawania Wańkowicza wydawca utrzymywał jakieś mętne konszachty z SB w wysiłkach pozyskania jego archiwum, zresztą nie udanych. Jak owego wydawcę dzisiaj oceniać – nawet tylko w ramach tematu „Wańkowicz”? Co było ważniejsze?

Józef Tejchma, wicepremier i Minister Kultury, osłaniał pisarza i

pozostawał z nim w prywatnych stosunkach tak bliskich, że ten do jego żony pisał wierszyk: „Tejchmo Alicjo, Moja delicjo…” (s. 84). Pisarz aresztowany, z rewizją przeprowadzoną nawet w zawodowych materiałach, był jednak przetrzymywany w dobrych warunkach poza regularnym więzieniem. Został skazany, ale zwolniony od odbycia kary. Skazany, ale przyjęty na rozmowę przez samego Gomułkę:

> Pisarz mówił, że jedynie w Polsce możliwa jest sytuacja, aby skazany żył z wyrokiem półtorarocznego więzienia, poruszał się swobodnie, a nawet wyjeżdżał za granicę – s. 358.

Nawet jeżeli w tle może kryły się rozgrywki wewnętrzne w ramach PZPR, których nie znamy – to opisywane zjawisko było jednak głębsze.

Wańkowicz, pisarz opozycyjny, procesował się z Tadeuszem Walichnowskim – czołową postacią moczaryzmu, jedną z głównych postaci ofensywy marcowej, jedną z najmocniejszych postaci ówczesnego establishmentu policyjnego. Dobrze, procesował się o to, że tamten w swoim dziele napisał, iż „Na tropach Smętka” przyczyniło się do śmierci wielu osób (wskazując je Niemcom). Niemniej jednak procesował się. Proces zresztą wygrał – co niestety niewiele mu przyniosło, gdyż nie dożył wyroku.

Ten system był niekoherentny, niespójny, zaś Wańkowicz swoją postacią i swoją twórczością, nawet okrawaną, ową niekoherencję powiększał. W Polsce czytano „Bitwę o Monte Cassino", nawet jeśli okrojoną, w wielkich nakładach, nieporównywalnych z ewentualnym przeszmuglowaniem pewnej liczby tej książki z Zachodu – co pewno miałoby miejsce, gdyby tam pozostał. Barwność postaci pisarza też była elementem zdrowia w niezdrowej PRL. Choćby dla takich przyczyn cenne było, że wrócił – wbrew wszystkim krytykującym ten jego krok.

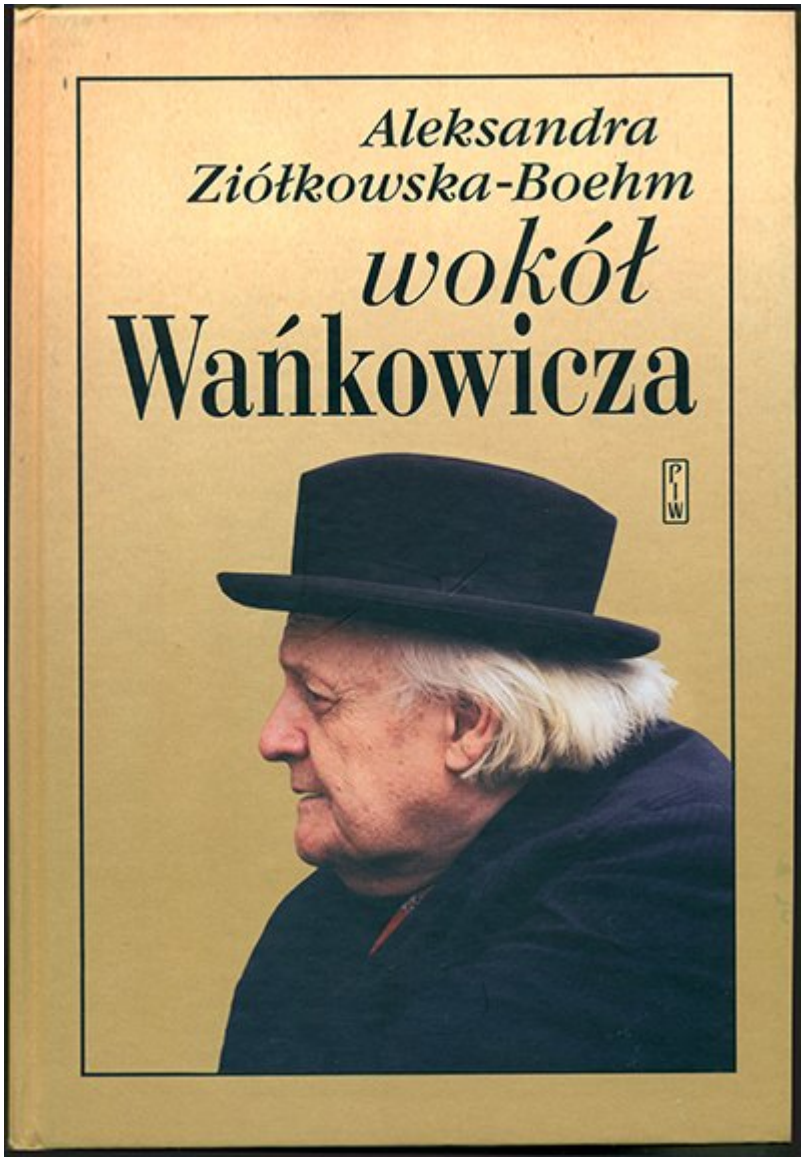
Z punktu widzenia cech systemu PRL – pomijając oczywisty ludzki aspekt sprawy – ciekawe są ostatnie momenty życia pisarza. Aleksander Małachowski odnotował:

> Umierający Melchior Wańkowicz wezwał moją żonę oraz mnie i przez wiele nocnych godzin przekonywał nas, dlaczego nie możemy dopuścić, by mu sprawiono uroczysty, państwowy pogrzeb. Oni – mówił – zechcą to zrobić nie dla mnie, ale po to, by się sfotografować przy mojej trumnie.

Pisarz wyraził życzenie, by w nagrobku na rodzinnym grobie nie naprawiać rzeźby uszkodzonej kulą wystrzeloną podczas Powstania Warszawskiego. Skądinąd dziś powszechnie uważany za nieskończenie tępiony Kościół, wysyłał księdza z ostatnią posługą choć Wańkowicz o niego nie prosił. W pogrzebie

uczestniczył minister kultury, pogrzeb prowadzil jeden z biskupów, kamery TV filmowały (unikając widoku księży w kadrze), SB spisała swoje raporty z pogrzebu, cenzorskie zapisy w sprawach związanych z Wańkowiczem trwały, rzecz jasna, po jego śmierci. W sumie: totalne pomieszanie, ale lepiej było tak, niż inaczej.

Last but not least, dla historyka ciekawe jest widoczne w sprawach Wańkowicza długie trwanie pewnych spraw dziejowych. One się w Polsce – choć nie tylko tu – nie mogą skończyć, niektóre nawet odradzają się. Za PRL niektóre były wyciszane, ale może tym bardziej żyły. Gomułka pomówił Jasienicę o sprawy z grubsza ćwierć wieku wcześniejsze – a potem miała miejsce okropna rozmowa Wańkowicza z umierającym. Upadł komunizm, a Polska wciąż żyje historią. Inni teraz mówią o Wałęsie sprzed pół wieku. Mnóstwo ludzi jest przekonanych, że tak trzeba i że w ogóle można rozwiązać wszystkie dawne sprawy. Także o tym, że o obraz przeszłości trzeba walczyć (w praktyce przy odwołaniu się do niego trzeba walczyć z przeciwnikami). W sumie: mało to zachęcające, przynajmniej z punktu widzenia historyka, który wolałby widzieć poparcie dla badań niż boje prowadzone w ramach tzw. polityki historycznej.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Wokół Wańkowicza, PIW, Warszawa 2019, s. 696

Recenzja Marcina Kuli ukazał się w PAMIETNIKU LITERACKIM, Londyn, grudzień 2019 r.

*

Zobacz też:

„King i Królik”- powrót Melchiora Wańkowicza

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja Melchiora i Zofii Wańkowiczów.

Pisarskie delicje i remanenty

Adam Wierciński



„Pisarskie delicje” Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (Bellona 2019) to *silva rerum*. Prawdziwy las rzeczy. Tyle tam spraw, tematów, postaci znanych i mniej znanych, tyle dopowiedzeń do książek wcześniejszych i dodatkowych opowieści. I tyle przytoczeń. Listy, rozmowy, wywiady, fragmenty książek własnego i cudzego autorstwa. A wszystko udokumentowane, sprawdzone i autoryzowane, kiedy trzeba. Polot, szczęśliwe przypadki, szczęście do spotkań z pięknymi ludźmi, ponadto – dyscyplina pisarska. I jeszcze sztuka uważnego słuchania.

W pierwszym rozdziale zajmuje się Autorka reportażem literackim, rozprawia ze znawstwem, którego mógłby jej pozazdrościć wykładowca na wydziale dziennikarstwa, o literaturze faktu, tłumaczy, skąd się wzięła popularność tego rodzaju pisarstwa.

> Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Staramy się śledzic, co się dzieje w różnych miejscach świata, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą (s. 11-12).

To pisarstwo wywodzi się z literackiego dziennikarstwa, przypomina, że w latach 70. XX w. popularnością cieszył się tzw. *literary journalism,* kiedy autorzy starali się przedstawić punkt widzenia przeciętnego człowieka. A kiedy i to określenie stało się nazbyt rozmyte, wprowadzono inne:

> Termin *„creative non-fiction”* (używany zamiennie jako *„literary non fiction”)* brzmi być może zagadkowo. Wyraz *„creative”* wskazuje, że autor używa metod i sposobów wypróbowanych w fikcji, czyli uprawia sztukę przenoszenia do narracji rozmaitych strategii i form opowiadania (s. 12).

Teoretyczne rozważania ilustruje Autorka przykładami, przypomina, jak się przygotowywała do pierwszego spotkania z Melchiorem Wańkowiczem, jak doszło do spotkania z Januszem Brochwiczem-Lewińskim („Gryf” w czasie powstania warszawskiego był świadkiem śmierci córki Wańkowicza). Wspomina o lojalności wobec rozmówcy:

> Pojawiają się momenty, kiedy rozmówca nie ukrywa, nie cenzuruje swoich słów, odczuć, wspomnień – mówi o nich swobodnie. Nie znaczy to, że piszący ma o tym napisać, aby „świat się dowiedział”. Ustalamy z moimi bohaterami, że swoją opowieść snują bez oporów, ale przed publikacją każdą wypowiedź z nimi autoryzuję. Mają do tego święte prawo. Zawsze usuwałam fragmenty wspomnień, którymi dzielili się ze mną, ale nie chcieli obwieszczać ich innym.
>
> Rozmówcy zasługują na szacunek, poszanowanie ich życia i prywatność. Zaufali mi, ja mam obowiązek postępowania etycznego (s. 41-42).

A po teoretycznym wstępie ciagną się opowieści o ludziach z różnych czasów i z tylu przestrzeni. O ich wędrówkach z wyboru i tych odbywanych kiedyś mimo woli. O rodzinie Rodziewiczów (z opowiadania Romana Rodziewicza powstała książka Wańkowicza „Hubalczycy”); o Aleksandrze Jordanie Lutosławskim, synu

sławnego filozofa, Wincentego Lutosławskiego; o ks. Prof Januszu Ihnatowiczu, teologu i poecie; o sławnym pilocie Januszu Żurakowskim. O skomplikowanych losach niektórych ludzi. Janusz Dukszta, lekarz psychiatra i polityk kanadyjski, rodem ze Szczuczyna (między Grodnem a Nowogródkiem), mówił Ziółkowskiej-Boehm o swojej złożonej tożsamości:

> Uważam się za Polaka litewskiego pochodzenia, od lat mówię, że jestem polskim Litwinem, ale to jest trochę skomplikowane. Odwiedziłem kilka lat temu Wilno, i stwierdziłem, że na pewno nie jestem Litwinem, pojechałem do Krakowa, stwierdziłem, że nie jestem Polakiem. Odwiedzam Anglię, gdzie ukończyłem uczelnię, i gdzie mieszka moja przyrodnia siostra Izabella, ale nie czuję się Anglikiem. Jestem Kanadyjczykiem – bo Kanada pozwala mi być… cudzoziemcem. To jest moje „identity” (s. 64).

Ciekawe, ile papieru zużyliby współcześni socjolodzy na opisanie tej wielostopniowej tożsamości, ile teorii stworzyliby dzisiejsi kosmopolici i narodowcy. A pisarka zostawia wyznanie potomka szlacheckiego rodu z Wielkiego Księstwa Litewskiego bez komentarza. Zostaje cenne świadectwo. Gdzie indziej opowie Autorka o Tomaszu Łychowskim, poecie i malarzu Brazylii (przyznaje się, że to, co pisze, jest polskie, a to co maluje – brazylijskie). Jego ojciec pochodził z Kijowa, ożenił się z

Gertrudą, Niemką spod Berlina. A stało się to w portugalskiej wtedy Angolii w latach 30. XX w. W roku 1938 Łychowscy z kilkuletnim Tomaszem przyjechali do Polski. A potem wojna, konspiracja, matka Niemka okazała się polską patriotką związaną z AK. Osadzono ją z siedmioletnim synkiem na Pawiaku.

> Obecnie Tomasz Łychowski ma ponad 80 lat i jest prawdopodobnie najmłodszym żyjącym więźniem Pawiaka.
>
> Pamięta, że codziennie o szóstej rano był apel. Ustawione w dwurzędzie więźniarki składały po niemiecku meldunek. Tomasz zapamiętał, że po pewnym czasie jemu przypadła ta funkcja i meldował: *„Fünfundzwanzig Frauen und ein Kind”* (25 kobiet i dziecko). Na to Komendant: *„Fünfundzwanzig Frauen und ein Man”* (25 kobiet i jeden mężczyzna) i bardzo zadowolony ze swojego dowcipu wybuchnął śmiechem (s. 240).

Poeta pisze w trzech językach: po polsku, po angielsku i po portugalsku, maluje i pisze wiersze (coraz częściej po portugalsku), w jednym z wierszy wspomina o swojej multiosobowości:

> *Jaka moja w tym wina*
>
> *– urodzony w Angoli –*
>
> *że nie jestem czarny?*
>
> *Zaadoptowany przez Brazylię*
>
> *że jestem gringo?*
>
> *Jaka wina?*
>
> *Że jestem synem Niemki w Polsce*
>
> *Polaka w Niemczech?*
>
> *Dość nierzeczywistych win!*
>
> *Czy nie wystarczą te prawdziwe?*
>
> (s. 252)

Jak to dobrze, że bohaterowie o takich skomplikowanych losach znaleźli rozumiejącą słuchaczkę, która z taktem i empatią potrafiła ich wysłuchać, a potem zapisać niezwykłe koleje losu

(powieściopisarz pomieściłby te opowieści w kilku zapewne tomach). A tu skrót, dane do opowieści i ewentualne rozwinięcie. Jak z Kają od Radosława:

> Najkrócej: Cezaria Iljin-Szymańska – pseudonim „Kaja” – działaczka podziemia, uczestniczka powstania warszawskiego, członek zgrupowania „Radosław”. Po powstaniu aresztowana w Białymstoku i osadzona w obozie NKWD nr 41 w Ostaszkowie. Do Polski wróciła w 1946 roku z malarią i tyfusem. Skończyła studia i została cenionym architektem, włączyła się w odbudowę Warszawy (s. 89).

Jeszcze o jednym szkicu należałoby wspomnieć. Zaczyna się tak:

> Jeżeli Wańkowicz jest mi wdzięczny, to zapewne za wymianę przedmowy… Że przekonałam wielkiego redaktora Giedroycia, który do swojej korespondencji z pisarzem napisał nową. Pierwsza jej wersja zawierała określenia niesprawiedliwe, niepoparte żadnym dokumentem (s. 257).

A jak to się stało, że propozycję Ziółkowskiej-Boehm, żeby dodał Giedroyć kilka zdań…

> – właśnie, że uważa go Pan za „czołową postać polskiej literatury” (…). Obok krytyki i ostrych rzeczy, czy nie może Pan dodać, że – jak Pan do mnie pisze – jednak „wysoko go Pan ceni”?

zostały uwzględnione, wnikliwy czytelnik, przeczyta sam. A uparta i wdzięczna Autorka, dbająca o dobre imię swojego mistrza, napisze o Giedroyciu z uznaniem:

> Jego wielkość z pewnością zawiera się także w fakcie, że dał sie przekonać. Bardzo go za to podziwiam i doceniam (s.293).

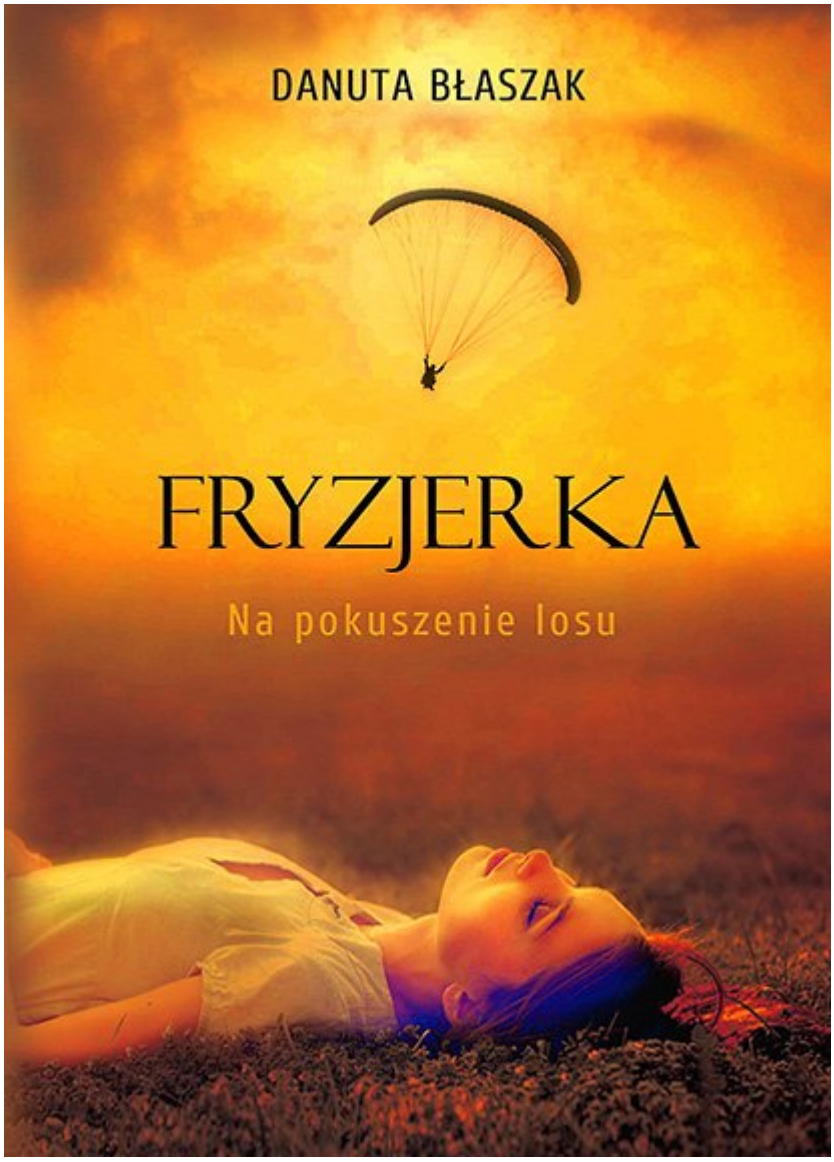
Tekst ukazał się [w:] PAMIĘTNIK LITERACKI, Londyn, grudzień 2020, s. 243-246

Zobacz też:

> „King i Królik”- powrót Melchiora Wańkowicza

Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża

„Fryzjerka” Danuty Błaszak



Zbigniew Mirosławski *(Tarnów)*

Powieść pt. *Fryzjerka*. *Na pokuszenie losu* Danuty Błaszak została wydana przez szacowną, lubelską Oficynę NORBERTINUM, działającą od 1989 r., a w ofercie reklamującą się m. in.: poezjami ks. Janusza Pasierba pt. *Blask cienia,* tomem pt. *Chmura,* o Leonie Zdzisławie Stroińskim pióra Hanny Zofii Etemadi czy książką Anny Marii Mickiewicz, *Londyńskie bagaże literackie*.

Do sięgnięcia po tę pozycję zachęcają nie tylko: nazwisko autorki, Danuty Błaszak, dziennikarki, edytorki, poetki, tłumaczki i działaczki polonijnej z Florydy, także piękne i staranne wydanie, szata graficzna według projektu Agnieszki Herman. Na okładce zamieszczono graficzną zapowiedź tego o czym przeczytamy: są to unosząca się w powietrzu paralotnia, leżąca na trawie, rozmarzona dziewczyna, szybująca wyobraźnią w przestworzach. Ciepłe, miodowe barwy.

Na stronie ostatniej *résumé*, z którego wyjmuję kilka zdań na temat głównej bohaterki, fryzjerki Joli. Brzmi banalnie, ale intryga wciąga niepostrzeżenie, bo narracja jest dynamiczna i ciekawa. Przeczytamy

> *Jolka zdecydowanie zmienia swoje życie. – Już nigdy nie wezmę pieniędzy od mężczyzny – deklaruje. Zrywa z kochankiem i dotychczasową rutyną. Odważnie wywraca wszystko do góry nogami*.

Faktycznie uzależnienie od żonatego Romualda, chorującej matki i faktycznych i „przyszywanych” ciotek, Stefy, Romy i Kwiety zdaje się tworzyć splątanie, trudne do odcięcia się od tych toksycznych związków. Relacja z koleżanką z pracy Michaliną jest ważna ale również podlega wahaniom, kiedy pojawiają się młodsze ubiegające się o pracę, Kasia i Mela.

Nie ujawniając zbytnio treści trzeba zauważyć zarysowanie wyraźnych charakterów i starszych i młodszych kobiet, w tym Titki i Kitki, także panów Huberta i Jakuba. Pewną rolę odgrywa również przypadkowy tzw. łut szczęścia, a konkretnie wygrane uczestnictwo w kursie paralotniarskim.

Niezbyt często w życiu spotykamy się z taką odwagą rzucenia się w nieznane. Przypuszczam, że lektura powieści może uskrzydlać i dawać nadzieję iż niekorzystne „układy" można zmienić. Liczy się determinacja, pasja przynosząca radość i wytchnienie od codzienności.

Nowe spojrzenie na samą siebie, uwalnia energię. Nawet kłopoty finansowe, wysoki kredyt mieszkaniowy do spłacania nie zatrzymają Joli w realizacji marzeń. Recenzent NORBERTINUM stawia pytania „…Czy wrażliwa, delikatna dziewczyna poradzi sobie z wyzwaniem, przed którym samą siebie postawiła? Czy będzie umiała zgodzić się na miłość, jakiej dotąd nie znała?…".

Oryginalną dygresją jest wspominanie przez autorkę, w imieniu swojej bohaterki Joli, znanych poetek: Anny Marii Mickiewicz, Agnieszki Jarzębowskiej i… samej współpracującej z Danutą Błaszak poetki i autorki projektu okładki tej książki Agnieszki Herman.

Innym aktualnym wątkiem jest nadchodząca i rozwijająca się

pandemia. Refleksje na temat przebiegu zakażenia koronawirusem. Obecnie czyta się to inaczej niż miejmy nadzieję za parę lat. Kwestia ta jednak pozostanie rodzajem dokumentacji trudnych lat 2020 i 2021.

Dla zainteresowanych lataniem interesujące mogą stać się opisy kursu paralotniarskiego, zajęć z meteorologii, lotów helikopterem i skoków spadochronowych w tandemie i indywidualnie. Zwłaszcza tych na Florydzie nad Sebastian River, w Zephyrhills.

Warszawianka, Danuta Błaszak, wraz z rodziną wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, mieszka w Orlando. Pisze o tym na czym zna się bardzo dobrze. Sama jest pasjonatką latania, skoków na spadochronie, paralotniarstwa. Od wielu lat zajmuje się promocją polskiej kultury. Prowadzi literacką stronę **miasto literatów ++** i we współpracy ze wspominaną już dwukrotnie w tym tekście Anną Marią Mickiewicz z Londynu wydaje serię wydawniczą *Contemporary Writers of Poland*. Jest to seria dwujęzyczna, polsko-angielska. Trzeba wyrazić nadzieję, że pisarstwo Danuty Blaszak nadal będzie się rozwijać. Za sobą ma już publikacje w *Radarze* na łamach którego od 1986 r. pisała recenzje i informacje z plenerów literackich. Wydała tomiki: *Wiersze*, *Tereska ze smutnego raju* (1995); *Anegdoty liryczne* – tomik wydany przez NZS, NURT, w drugim obiegu, 1989. W dorobku posiada również książki reportażowe: *Plotki z Florydy* z

przedmową Marka Kasza (WKMS 1993); *Seks przez telefon – wywiad z dziewczyną z* 0700” (IbiS); *Group Home Recollections* – Bianka B. Bird (Dreammee Little City 2014); *Notatnik z autyzmu* – o ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem (Dreammee Little City 2005); oraz tomiki wierszy, m. in.:. Otrzymała wiele nagród, medale i wyróżnienia.

Danuta Błaszak

Fryzjerka. Na pokuszenie losu

- Wydanie: pierwsze
- Miejsce i rok: Lublin, Norbertinum, 2021
- Objętość: 197, [2] s.
- Format: 147 x 208 mm
- Oprawa: miękka klejona
- ISBN: 978-83-7222-712-6

http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyfYLUxx_OMAs

---

Zbigniew Mirosławski, redaktor Współczesnej Polskiej Poezji i

periodyku – Magazyn Literacki, Aspiracje. Laureat ogólnopolskich nagród literackich.

Polscy poeci w Ameryce



Fot. „A Different Perspective” z Pixabay

Zdzisław Antolski

Danuta Błaszak i Anna Maria Mickiewicz przygotowały niezwykłą książkę pt. *Zza oceanu. Prezentacja poetów amerykańskich polskiego pochodzenia.* Książka powstała z inspiracji Bohdana Wrocławskiego, który zapragnął mieć prezentację polskich poetów mieszkających w Ameryce na swoim portalu internetowym: Pisarze.pl. Temat był na tyle ciekawy, że obie autorki postanowiły go poszerzyć i wydać w postaci książki. Wstęp napisał znany krytyk literacki Leszek Żuliński, który stwierdził m.in.: *Zamieszczone tu biografie Autorów – jakże różne – są na wagę złota. A więc wracajcie do nas wierszami – ja to uznaję za ważne wydarzenie literackie. Odzywajcie się co rok, co pięć lat, bo tylko w ten sposób stale będziemy razem. A to dla polskiego życia literackiego jest istotne.*

Istotnie życiorysy zamieszczone w książce mogą posłużyć jako przyczynek do historii Polski i historii literatury polskiej w Ameryce. Zwłaszcza, że wiek autorów jest bardzo różny. Chyba nestorem wśród prezentowanych tu poetów jest Janusz Artur Ihnatowicz, którego życiorys to jakby skrócona historia II wojny i następnych lat i dekad, aż do dzisiaj. Tu pozwolę sobie na prywatną dygresję. Otóż poznałem osobiście Janusza Artura Ihnatowicza na podwórku słynnego Seminarium Duchownego w Kielcach. Mieszkał tam podczas jednych ze swoich wakacji. Jest bowiem Ihnatowicz księdzem diecezji kieleckiej. Dostałem w

prezencie jego książki, które są bardzo trudno dostępne, opatrzone odręcznymi dedykacjami autora.

Inną znaną postacią jest Kazimierz Braun reżyser teatralny i telewizyjny. Ponadto opublikował on 60 książek i ponad 400 artykułów na temat teatru w wielu różnych językach. Jest także poetą. W Stanach Zjednoczonych mieszka od 1985 roku.

Kolejnym znanym autorem jest Adam Lizakowski, o którym autorki piszą: „Studiował na *Columbia College Chicago – creative writing gdzie uzyskał tytuł Bacher of Arts. Studia ukończył z wyróżnieniem Cum Laude.*”

Lizakowski jest znany również z wielu publikacji internetowych. Jego poezja zawiera dużo humoru i ironii. W wierszu „Adam Lizakowski, dlaczego jest w Warszawie…?” poeta pisze trochę ironicznie:

> *Dom Literatury*
> *na Krakowskim Przedmieściu*
> *poeci siedzą w*
> *piwnicznej Sali obiadowej*
> *poeci siedzą na*
> *parterze w kawiarni*
> *poeci siedzą na*

> *pierwszym piętrze w ZLP i SPP*
> *poeci siedzą na*
> *drugim piętrze w bibliotece*
> *w Pen Clubie*
>
> *zastanawia się*
> *skąd tylu poetów się wzięło*
> *skąd oni się biorą*
> *poezja nie jest*
> *biznesem*
> *pieniądzem*
> *przyjemnością*
> *chlebem*
> *pracą*
>
> *czym jest poezja*
> *skoro tylu jest poetów*
>
> *poezję lubi*
> *nic więcej*
> *rachunki czekają w Chicago*

Adam Lizakowski jest niewątpliwie wybitnym poetą, niezależnie od tego, czy aktualnie mieszka w Polsce czy w Ameryce. Jest autorem na miarę Różewicza czy Herberta, których echa

przebijają w jego wierszach. Jednak jest to poeta na wskroś indywidualny i odrębny. Zagadnienie czy autorzy prezentowani w książce są polskimi poetami mieszkającymi w Ameryce, czy amerykańskimi poetami mającymi polskie korzenie, nigdy nie zostanie rozstrzygnięte. Chyba każdy z nich musi sam się zdeklarować w tej sprawie. Tym bardziej, że w książce zaprezentowana została twórczość Polaków drugiego i trzeciego pokolenia, którzy urodzili się i wychowali w Stanach. Część z nich pisze już tylko w języku angielskim, dlatego do potrzeb antologii trzeba było zamieścić tłumaczenia ich wierszy. Anna Maria Mickiewicz stwierdziła w liście do mnie: Poeci z dużym entuzjazmem przyjęli nasze zaproszenie. Wciąż czują sentyment do kraju dziadków i ojców. W antologii znalazły się wiersze: Marianny Szlyk, Thaddeusa Rutkowskiego i Leonarda Kressa

Ciekawym poetą, piszącym w języku angielskim jest John Guzlowski, którego życiorys także jest przyczynkiem do historii Polski. Jak piszą autorki urodził się w obozie pracy przymusowej w nazistowskich Niemczech. Mimo, że całe życie mieszkał i pracował w USA, w jego wierszu „Zajęty wieloma sprawami" dedykowanemu Tadeuszowi Różewiczowi, widać duży związek duchowy z krajem jego rodziców.

W antologii znaleźli się także poeci będący jednocześnie przedstawicielami polskiej nauki Anna Frajlich, doktor slawistyki na New York University oraz Włodek Holszyński – uznany na

świecie matematyk.

Można by tak wymieniać wielu autorów. Na przykład Sylwia Kokot Martin (od kilkunastu lat mieszka na Florydzie), z której wierszami spotkałem się po raz pierwszy. Natomiast jestem miłośnikiem jej prozy, w tym wybitnej powieści „Potrawka z surojadki". W tym południowym stanie Barbara Voit, tłumaczka, w antologii możemy przeczytać parafrazę wiersza „dziad i baba".

Mieszkanką Florydy jest również Danuta Błaszak, która jest autorką wielu książek, wybitną poetką. W antologii umieszczono fantazyjny wiersz o walce.

> *Nad głowami huczą drony helikoptery i bombowce*
> *podobnie kiedyś szukano marihuany*
> *ale dziś celowniki są zaprogramowane na zboże*
> *(dożynki bezglutenowe)*

Współautorka tej książki, Anna Maria Mickiewicz, obecnie mieszkanka Londynu, jest również znaną poetką, eseistką i publicystką. Przy tym jest wybitną tłumaczką współczesnej poezji na język polski.

Odrębną grupę w książce stanowią poeci z Chicago stowarzyszeni w „Klubie Literackim Forum Poezji Chicago Art".

Klub został stworzony z inicjatywy Janusza Klisia, wybitnego polonijnego poety, by promować polską literaturę i kulturę. Założycielami klubu byli Mariusz Parker i Krystyna Kowal. Przy okazji warto dodać, że życie kulturalne i artystyczne Polonii Chicagowskiej jest bardzo bogate. Ukazuje się kilka czasopism polonijnych m. in. „Monitor", „Kurier" i „Dziennik związkowy". Z tego środowiska pochodzą autorzy tekstów umieszczonych w antologii „Zza oceanu": Mateusz Parker, Katarzyna Jabłonowska, Ewelina Zielińska, Marzena Muszyńska, Stefania Stanisława Murawska, Krystyna Jadwiga Anna Kowal, Sophie Spanier, Grażyna Jachymiak, Beata Korzeniak, Joe Gajek, Ewa Belicki.

Na zakończenie należy stwierdzić, że książka Danuty Błaszak i Anny Marii Mickiewicz jest bardzo ważna literacko i czytelniczo. Zapoznaje nas z polską poezją w Ameryce i tworzy pomost pomiędzy emigracją a krajem.



Zza oceanu. Prezentacja poetów amerykańskich polskiego pochodzenia, red. D. Błaszak, A. M. Mickiewicz, Dreammee Little City 2019, 88 s.

Czar „białej wróżki”



Akwarela przedstawiająca Marię Kalergis z jej autografem autorstwa Caroline Delessert,
zamieszczona w zbiorze listów Marii Kalergis, opracowanego i wydanego przez Marię Lipsius na pocz. XX w.

Jolanta Łada-Zielke

Hamburg

O Marii Kalergis (1822-1874) usłyszałam po raz pierwszy w wieku dziesięciu lat, kiedy omawialiśmy na lekcji języka polskiego okoliczności premierowego wystawienia *Halki* Stanisława Moniuszki w Warszawie, w 1858 roku. Maria Kalergis pomogła kompozytorowi finansowo i logistycznie w tym przedsięwzięciu. Później dowiedziałam się, że wspierała również działania innego przedstawiciela nurtu opery narodowej w dziewiętnastowiecznej Europie, mianowicie Ryszarda Wagnera. Ostatnio uzupełniłam swoją wiedzę o niej, czytając książkę *Maria Kalergis-Mouchanoff, z domu hrabianka Nesselrode. Pamiętniki i korespondencja białej wróżki* ***[1]***, która ukazała się w języku francuskim w styczniu 2020, nakładem wydawnictwa BoD. Autorem opracowania jest Luc-Henri Roger, belgijski pisarz zamieszkały w Bawarii, który napisał kilka książek o tematyce związanej z królem Ludwikiem II i Ryszardem Wagnerem.

Obejmująca sześćset stron samego tekstu książka składa się z dwóch głównych części: biograficznej, w której znajdujemy życiorys Marii Kalergis-Muchanow[2] autorstwa powieściopisarza Constantina Photiadèsa, oraz epistolarnej zawierającej zbiór listów bohaterki, opracowanych i wydanych przez niemiecką muzykolożkę Marię Lipsius (pseudonim La Mara). Listy Marii Kalergis, pisane głównie do jej córki hrabiny Marii Coudenhove i do jej męża uzupełniają treść biografii.

Roger zamieścił w końcowej części wybór korespondencji Franciszka Liszta. Książkę zamyka wykaz utworów poetyckich i muzycznych poświęconych Marii Kalergis (m. in. streszczenie dramatu *Pierścień wielkiej damy* Norwida), oraz wybór wspomnień sławnych ludzi na jej temat. Luc-Henri Roger korzystał także z polskich źródeł, takich jak biografia Marii Kalergis autorstwa Stanisława Szenica, *Dzieła Cypriana Norwida* (Parnas Polski, 1934) oraz listy bohaterki do Adama Potockiego, w opracowaniu Haliny Kenarowej, wydane w 1986 roku przez PIW.

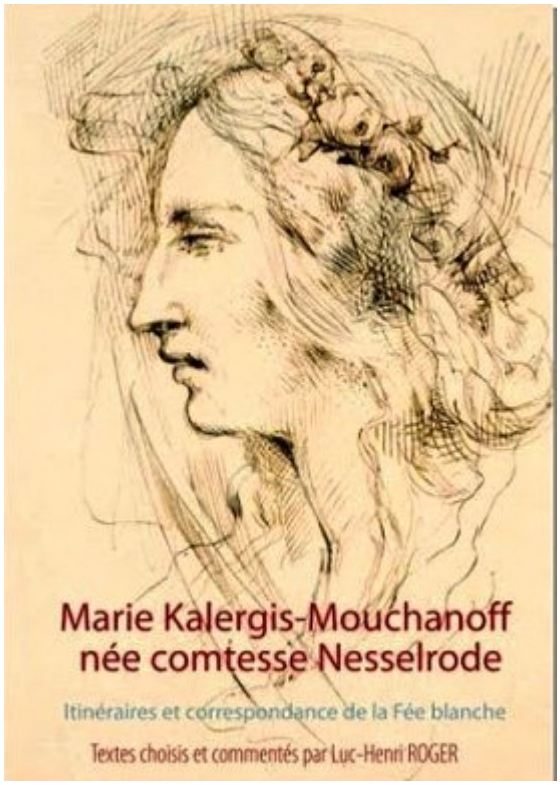
Romantyczna inspiratorka

Maria Kalergis-Muchanow, z domu Nesselrode, urodziła się i zmarła w Warszawie. Jej ojcem był niemiecki hrabia Fryderyk Karol Nesselrode, pełniący służbę dyplomatyczną w rządzie carskim, matką polska szlachcianka Tekla z Górskich. Kiedy Maria miała sześć lat, jej rodzice rozstali się z powodu niezgodności charakterów. Tekla była polską partiotką i żarliwą katoliczką, przekonaną, że wychodząc za mąż za Niemca w służbie rosyjskiej „zdradziła wiarę i ojczyznę”. Przeżywała wewnętrzny konflikt, który doprowadził ją do choroby psychicznej. Sądząc, że nie poradzi sobie z wychowaniem córki, oddała ją pod opiekę rodziny brata męża, kanclerza Rosji Karola Nesselrode. Od tego momentu Maria wychowywała się w Petersburgu u wujostwa, którzy mieli już dwie córki, w tym jedną

o imieniu Maria; dlatego nazwali bratanicę dla odróżnienia „Marie la Polonaise”. Odebrała tam staranne wykształcenie, głównie w zakresie języków obcych i muzyki, do której miała wyjątkowy talent. Już w wieku jedenastu lat świetnie grała na fortepianie, jak donosił listownie Karol Nesselrode jej ojcu, który pozostał w Warszawie. Wczesna rozłąka z matką sprawiła, że Maria zachowała melancholijne usposobnienie i smutny wyraz twarzy, który podobnie jak jej nieskazitelnie biała cera, inspirował poetów, takich jak Teofil Gautier i Henryk Heine, oraz nasz Cyprian Kamil Norwid. W wieku siedemnastu lat wyszła za mąż za Jana Kalergisa, z rodziny greckich emigrantów, który pełnił w Rosji funkcję sekretarza stanu. Był chorobliwie zazdrosny o Marię, więc po niespełna dwóch latach małżonkowie zdecydowali się na separację. Jan zachował się wielkodusznie i zabezpieczył finansowo małżonkę oraz ich córkę. Dopiero po jego śmierci w 1863 roku, Maria zdecydowała się ponownie wyjść za mąż za pułkownika Siergieja Muchanowa, prefekta warszawskiej policji, a następnie dyrektora Teatrów Rządowych w Warszawie, który był jej bardzo oddany.

Przez całe swoje życie Maria Kalergis otaczała się sławnymi ludźmi z wyższych sfer, politykami, dyplomatami i artystami. Najbardziej lubiła towarzystwo artystów, zwłaszcza muzyków, których była zagorzałą protektorką, zwłaszcza w Paryżu, gdzie prowadziła salon muzyczny w swoim mieszkaniu przy rue Anjou 6. Przyjmowała gości w białej, koronkowej sukni, zawiązanej w

talii szerokim, czerwonym paskiem. Złote loki ozdabiała białą opaską. Przypominała wyglądem postać z legend skandynawskich, dlatego nazywano ją „północną dziewicą”, „białą wróżką”, „kobietą-łabędziem”, „białym sfinksem”, albo „królową śniegu”. Wszystkie te określenia zawarł Teofil Gautier w swoim poemacie poświęconym Marii *Biała symfonia w tonacji durowej****[3]***. Henryk Heine zadedykował jej wiersz zatytułowany *Biały słoń,* inspirowany dalekowschodnią legendą o białym słoniu, mieszkającym na dworze króla Syjamu i nieszczęśliwie zakochanym w istocie jeszcze bielszej niż on, którą ujrzał we śnie. Utwór ten, utrzymany w sentymentalno-ironicznym tonie, traktuje żartobliwie o uczuciu Teofila Gautier do Marii Kalergis. Heine uważał, że równie dobrze mógłby się on zakochać w jednym z himalajskich szczytów; „biała wróżka” była piękna i nieosiągalna.



Okładka książki o Marii Kalergis

Franciszek Liszt i Ryszard Wagner

W 1835 roku w Baden-Baden Maria Kalergis zachwyciła się wirtuozowską grą Franciszka Liszta, który dał tam koncert fortepianowy. Poznali się osobiście dopiero w 1843 roku i to był początek ich wielkiej przyjaźni. W sierpniu 1845 roku Maria przyjechała do Bonn na uroczystość odsłonięcia pomnika Ludwika van Beethovena, postawionego tam z inicjatywy Liszta. Potem pielęgnowała kompozytora w czasie choroby. W ramach wdzięczności zadedykował jej swoją fortepianową transkrypcję utworu *Salve Regina de Jerusalem* Giuseppe Verdiego. Zaprotegował też Marię jako zdolną pianistkę u Fryderyka Chopina, który udzielił jej kilku lekcji. Sam Liszt twierdził, że *grała jak nikt inny, a ci, którzy ją usłyszeli, nigdy nie zapomną jej*

gry, lub inaczej mówiąc, jej unikalnej interpretacji. Maria Kalergis także podziwiała jego kompozycje. Jej zdaniem oratorium Liszta *Chrystus* stało się tym samym dla muzyki religijnej, czym *Pierścień Nibelunga* Wagnera dla muzyki operowej. Swoje listy do Liszta podpisywała *całkowicie i szczerze oddana,* albo *całuję Pana ręce.*

Liszt poznał ją z Ryszardem Wagnerem, przy okazji premiery *Tannhäusera* w Dreźnie, w październiku 1845 roku. Wagnerowi pochlebiło zainteresowanie Marii, które przyjął za dobry omen. Zupełnie słusznie, ponieważ w 1860 roku „biała wróżka" podarowała mu dziesięć tysięcy franków na pokrycie deficytu, jaki spowodowały jego koncerty w Paryżu. Pisał potem do swojej muzy Matyldy Wesendonck, że madame Kalergis wzbudziła jego zainteresowanie, ponieważ zauważył u niej dziwny przesyt, wręcz pogardę dla świata, a jednocześnie silną i głęboką namiętność do muzyki i poezji, oraz wielki talent. *Była także pierwszą osobą, która –zupełnie spontanicznie – zaskoczyła mnie naprawdę wspaniałomyślnym zrozumieniem mojej sytuacji…* dodał na końcu. Znalazła się w ścisłym gronie jego przyjaciół, którym prezentował prawykonania swoich oper, w domowym zaciszu przy fortepianie. W ten sposób poznała drugi akt *Tristana i Izoldy* w wykonaniu samego kompozytora i sopranistki Pauliny Viardot. Ale jej ukochaną operą stał się *Lohengrin*, który wyzwalał w niej tak silne emocje, że płakała na przedstawieniach (rozumiem ją doskonale, bo też nie mogę powstrzymać łez).

Niemcy dobrze znali upodobanie madame Kalergis do *Lohengrina* i kiedy przybywała do Monachium, król bawarski Maksymilian II kazał wystawiać tę operę w Teatrze Królewskim. Za pośrednictwem swojego kuzyna, barona von Seebach, Maria uzyskała dla Wagnera od króla Saksonii cofnięcie zakazu powrotu na teren Niemiec, jakim został objęty po udziale w tzw. „rewolucji majowej" w Dreźnie 1849 r. Załatwiła mu też koncerty we Wiedniu oraz w Sankt Petersburgu. Po obejrzeniu w Monachium *Śpiewaków Norymberskich*, stwierdziła, że to dzieło stawia Wagnera w jednym rzędzie z Szekspirem i Ajschylosem.

Wagner odwdzięczył się jej w nieco kontrowersyjny sposób, zadedykował jej mianowicie drugą, wyostrzoną wersję pamfletu *Das Judenthum in der Musik (Żydzi w muzyce)*, wydanego w formie broszury w 1869 roku. Poczuła się tym zarówno zaszczycona, jak i zaskoczona. Owszem, nie przepadała za twórczością Meyerbeera ani Mendelssohna, których Wagner krytykował, ale nie była antysemitką. Wręcz przeciwnie, ceniła społeczność żydowską Warszawy za to, że chętnie brała w organizowanych przez nią akcjach charytatywnych. Kiedy wyszedł na jaw romans córki Liszta, Cosimy von Bülow z Ryszardem Wagnerem, który zbulwersował opinię publiczną, Maria Kalergis pozostała w przyjaźni z obojgiem, nie oceniając ich, ani nie potępiając. Chwaliła wielkoduszność Hansa von Bülow, który zgodził się na rozwód i pośredniczyła listownie między Cosimą a jej ojcem, który na trzy lata zerwał kontakt z

córką. Przetrwanie tego trudnego okresu Cosima i Ryszard zawdzięczali uspokajającemu wpływowi i taktownemu postępowaniu ich wspólnej przyjaciółki. Dzięki jej korespondencji czytelnik ma możliwość „zajrzenia" do domu Wagnerów w Tribschen. Wspierała ich także przy przedsięwzięciu budowy teatru w Bayreuth. Wcześniej obejrzała premierowe przedstawienia *Złota Renu* i *Walkirii* w Monachium. Prawdopodobnie to ona jako pierwsza nazwała Bayreuth „nową Mekką" dla muzyków. Dziś określamy to miasto mianem „Mekki wagnerianów". Niestety, nie dożyła wystawienia tetralogii *Pierścień Nibelunga*, była za to obecna przy położeniu kamienia węgielnego pod Festspielhaus 22 maja 1872 roku i oglądała plany teatru. *Wreszcie nie będziemy mieli czego zazdrościć Ateńczykom i ich nieśmiertelnemu teatrowi*, pisała z satysfakcją do córki.

Zmarła dokładnie dwa lata później, 22 maja 1874 roku na nowotwór narządów rodnych. Jeszcze przed śmiercią podarowała dwa tysiące talarów na rzecz założonego przez Liszta Towarzystwa Muzycznego w Weimarze. Otrzymawszy wiadomość o jej śmierci, Liszt usiadł natychmiast do fortepianu i zaczął improwizować na temat pierwszej ze swoich *Elegii*, a potem opatrzył jej nuty dedykacją dla Marii. W rok później zorganizował w Weimarze uroczystość muzyczną upamiętniającą tę niezwykłą kobietę. W trakcie obchodów wystawiono na widok publiczny jej portret pędzla Franza von Lenbacha, ozdobiony kwiatami. Jako

oprawę muzyczną wykonano trzy utwory Liszta: *Elegię o śmierci Marii Kalergis*, *Requiem* na czterogłosowy chór męski, *Ave Maria* oraz *Hymn dziecka po przebudzeniu n*a trzygłosowy chór żeński do słów poety Lamartine'a. W domu Liszta w Weimarze stanęło popiersie Marii Kalergis wyrzeźbione przez Cypriana Godebskiego. Nawet po upływie siedmiu lat kompozytor zwierzał się ich wspólnej przyjaciółce, księżnej Paulinie von Metternich, że odejście Marii wywołało w nim pustkę, której nic i nikt nie jest w stanie wypełnić. *Życie straciło swój urok, odkąd jej zabrakło*, stwierdził ze smutkiem.

Między patriotyzmem a lojalizmem

Aktywność polityczna „białej wróżki" wywoływała najwięcej krytycznych opinii. Prowadziła ona w Paryżu działalność dyplomatyczną, tzw. „dyplomację krynolinową", wraz z dwiema arystokratkami Katarzyną Lieven i Katarzyną Bagration. W jej salonie spotykali się przedstawiciele różnych, nieraz wrogich ugrupowań politycznych. Posądzano ją o bycie tajną carską agentką, z racji pokrewieństwa z kanclerzem Rosji, ale w swoich listach do wuja zamieszczała raczej plotki z życia towarzyskiego. Jej finezyjne spostrzeżenia i przewidywania dotyczące polityki okazywały się słuszne, przewidziała na przykład pomoc militarną Austrii dla przeciwników Rosji w wojnie krymskiej. Działalność Marii i jej przyjaciółek zakończyła się po klęsce Rosji, kiedy kanclerz Nesselrode podał się do dymisji, zaś jego następca

książę Aleksander Gorczakow nie zamierzał korzystać z pomocy dam. Zarówno Photiadès jak i La Mara oceniają krytycznie działalność polityczną Marii Kalergis. Photiadès twierdzi, że gubiła się w tym jak w labiryncie, a przecież nie była Ariadną.

W rozdziale *Maria Kalergis a Polska* Photiadès opisuje stosunek Marii Kalergis – Muchanow do polskich dążeń niepodległościowych, który też budzi kontrowersje. Wychowana w rodzinie niemieckich dyplomatów, pozostających w służbie carskiej, zachowała lojalistyczną postawę w stosunku do Rosji. Poza tym była kosmopolitką. Maria Lipsius uważa, że „biała wróżka" obrała sobie cel nierealny do osiągnięcia, mianowicie pogodzenie Polaków i Rosjan, co w ówczesnych warunkach było niemożliwe. W głębi serca czuła się Polką, zwłaszcza dzięki muzyce Chopina, którą chętnie i z powodzeniem wykonywała publicznie. Przeżywała podobne rozterki, co jej matka, które skutkowały okresowymi napadami melancholii. Początkowo bliskie jej były romantyczne ideały wolnościowe, ale w wieku dojrzałym reprezentowała poglądy zbliżone do margrabiego Wielopolskiego. Chciała dla Polaków autonomii, własnej administracji, swobód kulturowych i wyznaniowych, ale wątpiła w ich zdolność do samodzielnego rządzenia państwem uważając, że zbyt wiele u nich demagogii. Będąc świadkiem przygotowań do powstań, do których doszło w okresie jej dorosłości – krakowskiego 1846 i styczniowego 1863 odradzała spiskowcom te działania, przewidując, niestety słusznie, klęskę obu zrywów i

represje ze strony zaborców. Nie przyłączyła się do pań z arystokracji warszawskiej wspierających powstańców styczniowych. Mimo swojej zachowawczej postawy, nigdy nikogo nie zadenuncjowała. Wiąże się z tym pewna anegdota. Przebywając w Warszawie, w zimie 1846 roku, Maria dostała na przechowanie dokumenty tajnej polskiej organizacji patriotycznej, które niefrasobliwie włożyła do pudła na kapelusze. Podczas rewizji, zarządzonej zresztą przez jej ojca, nikomu z carskich inspektorów nie przyszło do głowy tam zajrzeć, mimo że pudło przez cały czas stało otwarte na stole.

Nic ująć, lecz raczej dodać

W 1860 roku Maria Kalergis zorganizowała w Warszawie bal charytatywny i dwa koncerty, z których dochód przeznaczony został na założenie tamtejszego Konserwatorium, którego dyrektorem został Stanisław Moniuszko. Jej rolę w przedsięwzięciu związanym z wystawieniem *Halki* przedstawił Roger w końcowej części książki, omawiając treść filmu Rybkowskiego z 1950 roku *Warszawska premiera*. W jednym z listów Maria opisuje okoliczności śmierci Moniuszki i jak potem starała się pomóc jego rodzinie, organizując w Warszawie koncert benefisowy Mikołaja Rubinsteina, który przyniósł dochód w wysokości dwóch tysięcy rubli. W marcu 1869 roku donosiła z entuzjazmem o sukcesie opery w Moskwie, wystawionej tam w języku rosyjskim. Po zakończeniu przedstawienia odbyły się na

życzenie publiczności trzy bisy, w tym jeden z mazurem. Ale polscy czytelnicy na pewno zwrócą uwagę na fakt, że w książce Rogera jest sporo informacji o Wagnerze, ale zbyt mało o Moniuszce. Znalazłam jeszcze jedną rzecz wymagającą uzupełnienia. Maria opisuje, że w Poniedziałek Wielkanocny 1869 roku była na wspólnej kolacji z hrabią Chłapowskim i jego żoną, piękną i utalentowaną aktorką z Krakowa, którą jej mąż Siergiej zaangażował na bieżący sezon zimowy. Polski czytelnik zorientuje się od razu, że chodzi tu o Helenę Modrzejewską i zdziwi, że brak na jej temat przypisu. Mimo że pani Muchanow nie wymienia jej z nazwiska, należało dopisać choć parę słów o tej wielkiej polskiej aktorce, która zrobiła później karierę w Stanach Zjednoczonych. Jeśli więc tak sformułowana biografia Marii Kalergis miałaby ukazać się w języku polskim, konieczne byłyby pewne uzupełnienia.

Photiadés stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego brakuje nazwiska Marii Kalergis-Muchanow w kronikach światowych i w ogóle w historii. Upatruje przyczyny w tym, że brakowało jej ojczyzny, której szukała przez całe życie. Jej kuzyn, dyplomata angielski sir Fryderyk Saint-John napisał, że była Niemką z pochodzenia, Polką ze strony matki, Rosjanką przez wychowanie, Greczynką za sprawą małżeństwa; ale słowiański temperament dominował zdecydowanie w jej osobowości.

Książka opracowana przez Luca-Henriego Rogera potwierdza, że

Maria Kalergis-Muchanow stanowczo wyprzedzała epokę, w której żyła. Jej działalność promująca artystów miała charakter ponadnarodowy. Trudno nazwać ją emancypantką, ale była z pewnością kobietą światową, która zrobiła wiele dla krzewienia międzynarodowej kultury. Miała po temu możliwości, które doskonale wykorzystała.



Luc-Henri Roger

---

[1] Oryginalny tytuł: *Maria Kalergis-Mouchanoff, née comtesse Nesselrode. Itinéraires et correspondance de la Fèe blanche*.

[2] W tekście artykułu stosuję polską pisownię drugiego nazwiska bohaterki, podczas gdy w książce pojawiają się jego różne warianty, najczęściej „Mouchanoff”.

[3] Oryginalny tytuł: *La Symphonie en Blanc Majeur*.

Powrót z Kazachstanu



Franceska Michalska

Marek Klecel *(Warszawa)*

Wśród licznych świadectw o deportacjach Polaków na Wschód w głąb Rosji wspomnienia Franceski Michalskiej, zawarte w niewielkiej książce pod zaskakującym tytułem „Cała radość życia. Na Wołyniu, w Kazachstanie, w Polsce”, wyróżniają się dość odrębnym tonem i sposobem przedstawienia tych straszliwych często przeżyć podczas aresztowań, wysiedleń i pobytów w obozach. Zostały one spisane po dłuższym czasie jako rezultat życiowych przemyśleń, zachowując tym samym pewien refleksyjny dystans do opisywanych wydarzeń.

Autorka pochodzi z Wołynia, z tej jego części, która po Traktacie Ryskim w 1921 roku znalazła się po stronie sowieckiej. Miliony Polaków na Kresach zostały wtedy pozostawione radzieckiej władzy. Rodzina autorki po klęsce wielkiego głodu na Ukrainie na początku lat 30. została wywieziona do Kazachstanu jeszcze przed wojną w roku 1936. Ci, co przeżyli głód, byli represjonowani, wywożeni do łagrów, rozstrzeliwani. Wymierały całe wsie, a jednocześnie zakładano kołchozy.

> Władza ogłosiła wkrótce – pisze autorka – że osiągnięto całkowitą, dobrowolną i powszechną kolektywizację.Nie było już „jednoliczników”. Wszyscy pracowali w kołchozie.

Rodzicom autorki zabrano gospodarstwo, co oznaczało rychłą deportację na Wschód. Trafiła do Kazachstanu, mając 13 lat. Transport okolicznych mieszkańców przez Wołgę i Ural trwał trzy tygodnie. Wysiedli w pustym stepie, tam, gdzie skończyły się szyny kolejowe. Komendant transportu powiedział im: „zdieś budietie gorod stroit".

Jak podaje Tomasz Bohun w posłowiu do książki, do Kazachstanu wywieziono w 1936 roku prawie 36 tysięcy Polaków, z czego ponad 12 tysięcy dzieci:

> Część osiedlano w istniejących już sowchozach, jednak z reguły osadzano ich na pustkowiach, gdzie musieli zaczynać od zera. Za sprawą tych ludzi powstało 37 nowych wsi. Szacuje się, że w latach 1926-1939 liczba Polaków na radzieckiej Ukrainie zmniejszyła się – w wyniku egzekucji, deportacji, głodu – o 120 tysięcy i w końcu lat 30. wynosiła 357,7 tysiąca osób.

Podczas klęski wielkiego głodu na początku lat 30. zginęło na Ukrainie około 3 milionów ludzi. Wiadomo, że dochodziło wtedy do sytuacji straszliwych i makabrycznych,

> do aktów kanibalizmu i nekrofagii – pisze Tomasz Bohun.

> Zwykle dramat rozgrywał się w łonie rodziny lub grupy sąsiedzkiej, kiedy dogorywające albo martwe dzieci zjadali rodzice czy krewni. Działały też wyspecjalizowane szajki, które przekazywały zwłoki (wcześniej z reguły mordując ludzi) do swoistych masarni, które po przetworzeniu dostarczały makabryczny towar na targi, a nawet zaopatrywały w niego restauracje.

W Kazachstanie zesłańcy byli nowoczesnymi niewolnikami w obozach bez ścian i drutów, ograniczonych tylko całkowicie wolną, niezmierzoną, nie do przebycia przestrzenią. Mieli budować osady dla siebie i Kraju Rad. Ci, co przeżyli głód i mróz, budowali lepianki z brył błota i trzciny w środku bezkresnego stepu, zaludniali i uprawiali pustynię. Po pierwszej epidemii zapadali na głodowy szkorbut, czyli cyngę i kurzą ślepotę. Kobiety umierały przy porodach, aż przestały rodzić. Mężczyźni próbowali beznadziejnych ucieczek. Autorka zaczęła chodzić do szkoły do odległej wsi. Kiedyś omal nie zamarzła, wracając do domu. Brat, który rzucił kałamarzem w portret Stalina, pojechał na dziesięć lat zsyłki do kopalń Magadanu.

Dzięki nieludzkim wysiłkom w ciągu kilku lat przetrwali największy głód i najtrudniejszy, udany w rezultacie, okres zasiedlenia egzotycznej ziemi. Zaczęli dostawać wiadomości z rodzinnych stron na Wołyniu. Były to jednak najczęściej wieści o

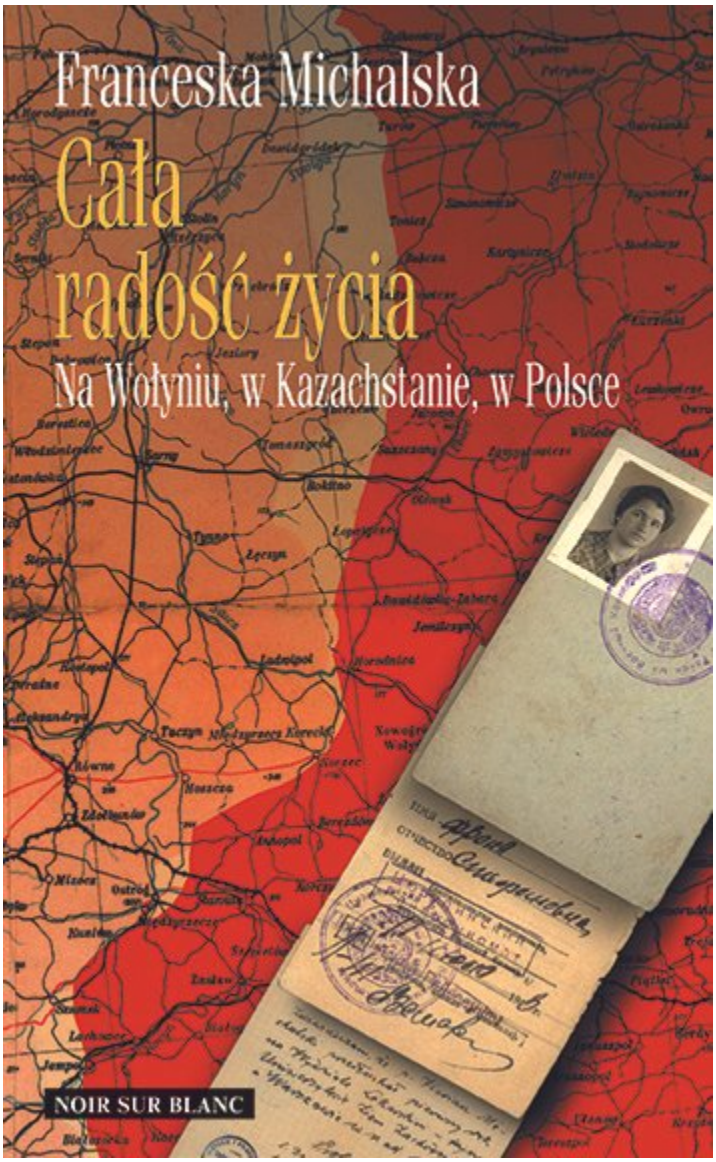
nowych aresztowaniach i wywózkach. Z trudem udało się autorce jako przymusowo osiedlonej zapisać do szkoły felczerskiej, na co musiała uzyskać zgodę NKWD. Po wybuchu „wielkiej wojny ojczyźnianej" w 1941 roku udało się jej też wydostać z Kazachstanu na dalsze studia medyczne. Przez Nowosybirsk i Omsk trafiła do Ałma-Aty, gdzie zapisała się do Instytutu Medycznego. Wkrótce jednak wyrusza dalej, do Charkowa zrujnowanego wojną. Na zimę dostaje mieszkanie bez okien. Nie ma papieru do robienia notatek, dostępne są tylko dzieła Stalina, na tyle jednak wygodne, że można pisać między linijkami druku. Koleżance, która uszyła sobie sukienkę z materiału znalezionego w lesie wytoczono śledztwo. NKWD podejrzewało ją o przechowywanie desantu spadochroniarzy.

W poszukiwaniu lepszych warunków autorka przenosi się do Czerniowiec, już na granicy rumuńskiej. Stale myśli o powrocie do Polski. Koniec wojny nie oznacza możliwości powrotu, jest już bowiem obywatelem sowieckim. Tylko dzięki różnym zabiegom, wcale nie dyplomatycznym, uzyskuje zgodę, czyli odpowiednie papiery, na repatriację.

Przed wyjazdem do Polski odwiedza jeszcze swą wieś na Wołyniu i dom rodzinny zajęty przez kołchoz, ogląda zrujnowane gospodarstwo. Nie może wejść do domu, bo w głównej izbie zamknięto niebezpiecznego buhaja, którego wszyscy się boją. Przyjeżdża do Polski i na pierwszej stacji kupuje sobie mydło i

bułkę z szynką. Jest zaskoczona, że można kupić więcej, nieomal wszystko „skolko ugodno”. Dziwi się, że do dalszej podróży potrzebny jest tylko bilet, a nie specjalne dokumenty. Ale tak dobrze było tylko po wojnie. Polska miała się stać również sowiecka, taka, jak kraj, z którego autorka uciekała. Z trudem więc udało się jej skończyć studia medyczne we Wrocławiu, była bowiem podejrzliwie traktowana przez nowe władze komunistyczne jako repatriantka, uciekinierka ze Wschodu.

Jej podróż do Polski trwała dziesięć lat i zajęła większą część jej dzieciństwa i młodości. Może powiedzieć, że ta podróż skończyła się naprawdę szczęśliwie. Radość, o której wspomina w tytule swych wspomnień, wynika w tym wypadku nie z odbywania samej podróży, lecz z jej zakończenia, radość z kresu podróży. Radość wynikająca z cudu ocalenia, bo wielokrotnie uszła z życiem, które inni tracili. Była w tym innym świecie, z którego wrócili nieliczni. Swe wspomnienia z tamtego świata napisała już z innej perspektywy całego późniejszego życia, zostały przefiltrowane przez upływający czas, dlatego może są skrótowe i powściągliwe. A jednak przez tę oszczędność tym bardziej wstrząsające w swych szczegółach i obrazach, w sytuacjach które mogą oddać choć część prawdy o tak nieludzkim świecie. Pozostają w pamięci jak widma czegoś nierzeczywistego, o czym wiemy jednak, że się zdarzyło, pozostają jak cienie ludzi, którzy to wszystko przeżyli, ale, być może, sami już nie bardzo wierzą, jak to wszystko było możliwe.



Franceska Michalska, Cała radość życia. Na Wołyniu, w Kazachstanie, w Polsce. Wspomnienia, Noir sur Blanc, Warszawa 2007.

Marek Klecel doktor nauk humanistycznych, historyk, wykładowca literatury polskiej XX wieku na Uniwersytecie

Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, publicysta, wydawca, redaktor.

Franceska Michalska (ur. 10 sierpnia 1923 w Kamieńcu Podolskim, zm. 29 listopada 2016 w Siemiatyczach) – polski lekarz pediatra i pisarka.

Rodzice Franceski – Waśkowscy – prowadzili gospodarstwo rolne na Wołyniu, we wsi Maraczówka. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, w wyniku podpisania traktatu ryskiego wieś znalazła się kilkanaście kilometrów na wschód od granicy II Rzeczypospolitej.

W 1936 r. rodzina została przymusowo przesiedlona do Kazachstanu. Na rok przed wybuchem II wojny światowej dostała się do trzyletniej szkoły felczerskiej w Pietropawłowsku, którą ukończyła w przyspieszonym tempie, a następnie została wysłana do jednego ze szpitali polowych Armii Czerwonej, skąd po krótkim czasie została przeniesiona do pracy w domu dziecka. W 1941 r. zdała egzaminy wstępne do Instytutu Medycznego w Ałma-Acie, skąd przeniosła się do Charkowa, a następnie do Czerniowiec, cały czas kontynuując studia medyczne. Po zakończeniu II wojny światowej uzyskała (nie do końca legalnie) status polskiego repatrianta i została skierowana do Wrocławia, gdzie kontynuowała studia na tamtejszej Akademii Medycznej. Absolutorium na tej uczelni uzyskała w 1949 r., a

dyplom lekarza w 1950.

Po studiach nakazem pracy została skierowana do Kłodzka, gdzie pracowała wraz z mężem w miejscowym szpitalu w latach 1951–1954; urodziła w tym czasie troje dzieci. W 1955 r. zdecydowała się przenieść z całą rodziną do Siemiatycz, do szpitala powiatowego im. dr Józefa Brudzińskiego. W 1956 r. w Instytucie Doskonalenia Kadr Lekarskich w Warszawie uzyskała specjalizację I stopnia z pediatrii. Specjalizację drugiego stopnia otrzymała w 1966 r. Od tego roku do 1985 pełniła funkcję ordynatora oddziału dziecięcego w szpitalu w Siemiatyczach.

W 1991 r., będąc już na emeryturze, Franceska Michalska zaczęła spisywać swoje wspomnienia. Wydała je początkowo w formie dwóch artykułów prasowych w „Życiu Warszawy". W trakcie śmiertelnej choroby jej syna Jana, który wyemigrował do Szwajcarii, aby pocieszyć jego córki, a swoje wnuczki, zaczęła spisywać wspomnienia w bardziej obszernej formie. W 2007 r. wspomnienia te w formie książkowej zostały opublikowane przez Oficynę Literacką *Noir sur Blanc*. W 2008 r. książka znalazła się w finałowej siódemce nominowanych do literackiej nagrody COGITO. Książka ta została przetłumaczona i wydana w 2009 r. we Francji. *(Wikipedia)*